



BELDONEK

PRZEZ

A. DYGASIŃSKIEGO.



MIKOŁÓW-WARSZAWA.

NAKŁADEM KAROLA MIARKI.

1899.

BELDONEK

PRZEZ

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.



MIKOŁÓW—WARSZAWA.
CZCIONKAMI KAROLA MIARKI.
1899.

60, -

BIBL. GŁÓWNA

Czyt. Główna: 53811

Komputer:

WAGUŁEJ



94811

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0030980

K-183/28/94811



I.

Był sobie chłopak jeden — małe takie, brudne, na przypiecku to siadało, kozikiem strugał a strugał patyki; no i sam sobie ciągiem opowiadał, co z tego patyka chce zrobić:

— Króla takiego — mówi — okrutnego pana, co będzie miał wszystko, jak zechce, jak każe . . .

A nie, to zdłubał znowu jakiego cudaczego zwierza, co nogi miał, jak u konia, a skrzydła takiej u gołębia. Różności przychodziły temu dziecku do głowy, nie takie było, jak inne dzieci. Beldonek go przewzali we wsi, i tak już zostało. Miał ojca, matkę, jeno braci i siotr więcej nie było. Ludziska ci zarabiali się, zwyczajnie jak w chłopskim stanie — grzebało to w ziemi, babrało się wedle bydła. A ten Beldonek nie lubił takiej roboty; od dziecka nie chciał mu się żyć, jak inni ludzie. Kiej kozikiem czego nie wykrawał, to w palcach coniebądź lepił z gliny, albo wziął z komina węgiel, poleciał za chałupę i dopiero na słupach różne cudaki gryzmołił, czyli też na wrotni od stodoły. Bywało, bieży nieraz

pod kancelaryę gminną, albo się chyłkiem skrada ku dworowi, i tam na podwórku gmera w śmieciach, nie przymierzając, jak kura. A on to robił kóli różnych papierków, bo je ogromnie lubił zbierać. Jak tego nazbierał, tak dopiero rozlepiał precz po ścianach, po płotach. Chałupa owych Beldonowych rodziców aż się pstrzyła bez to, co przed takim chłopakiem nie można było żadnej czystości utrzymać. Zalażł do sadu, to i na drzewach kozikiem różności wyrzynał. Drugi ojciec, toby zepsuł uczciwie skórę takiemu smarkatemu i odczyłby od psoty; jeno ten Beldonków pozwalał chłopakowi na wszystko — juści pewnikiem bez to, jako jedno dziecko było w chałupie. No, rozpuściło się na nic chłopaczysko, zrobił się z niego taki mitrega. Zagadał co, to zawdy nic do rzeczy.

— Słyszycie wy, matulu — powiada — jak myszy pod nalepą piszczą?

— Oj, ty pleciugo — mówi mu matka — dziwota jaka, że myszy piszczą!

— One tak gadają z sobą, nikiem ludzie — rzeknie chłopak.

Znowu drugi raz uważał sobie, że jak wiatr śwista, to niby coś grało po dworze. Czasem go starzy zgadali za to, ale to nic nie pomogło.

— Wyrośnie, to zmądrzeje — powiada matka.

Przyszło jakieś złe powietrze i umarł ojciec temu chłopakowi; lament ogromny w chałupie, matka się zanosi z płaczu, o kęs się pod ziemię nie schowa. Chłopak też popłakuje za panią matką, ale co trochę to pyta:

— Matulu, co się tatusiowi stało?
Ona jęczy w niebogłosy i woła:

— Dyc umarł, umarł mój kochanek! . . . Zostałeś sierotką na świecie, a ja nieszczęśliwa wdowa!

Jeno Beldonek nie rozumiał, co to jest „umarł“, i ciągle się matce napierał, żeby mu tłómaczyła, jak tatuś umarł. Takie już było jakieś dziecko, że na proste rzeczy rozumu żadnego nie miało.

Lubiły we wsi baby tę kobietę, schodziły się potem do niej, żeby jej markotność po chłopie rozpędzić. To tam u niej w chałupie na jesieni czy w zimie po całych wieczorach jedne przędły, drugie darty pierze, czy też łuskały groch albo kukurydzę, a przytem bajały różności. Weszło to przez cały rok we zwyczaj. Beldonek słuchał, okrutnie lubił takie baję, omal się nie zasłuchał. Już potem znowu przez cały dzień nic nie robi, tylko dziwności wygaduje; precz rozpowiada historie, co pono jeszcze ciekawsze były od tych babskich. Miał głowę do takich rzeczy.

— Był chłopak — mówi — z chałupy wyszedł bez niczego, w świat sobie poszedł...

Dopiero matce wyklada jedno po drugim, jak ten chłopak żył, jakie miał straszne przypadki. Stara się uwija po chałupie, jak to przy gospodarstwie — kartofle struże, porządek robi w naczyniu, czy ogień nieci, a chłopak rżnie swoją sztukę. To się nieraz aż spłakała, jednem jeno uchem słuchający, bo tak smutnie rozpowiadał wszystko.

— A wiecie, matusiu, co się z tym chłopakiem stało? Powiedzieć wam?...

I znowu rozpowiada zmyślnie, nikiem z książki, jak się w tym biednym chłopcu zakochała panna ze złotymi włosami.

Skąd tota takim małemu przychodziło do głowy? Ledwie jedną historję skończył, całą docna wypowiedział, już znowu drugą zaczyna.

— Był taki człowiek — powiada — co mowę zwierząt podśluchał i wiedział rzeczy innym ludziom nieznanne...

Całą historję bardzo długą ciągnie, a coraz to wszystko ciekawsze; bo taki człowiek mógł umarłego do życia przywrócić, sam się też mógł zmienić w zająca, wilka, czy też mrówkę albo ptaka. Nie tylko takie historje opowiadał, inne jeszcze piękniejsze były: o jednym, co smoka o dwunastu głowach poćwiartował, król mu za to swoją córkę dał za żonę i na królestwie go posadził.

Nie dość na tem, rozповідаł o zaklętych królewnach, o czarnoksiężnikach, o różnych okrutnych zbójach, o zamkach, pałacach, skarbach niezmiernych. Myślałby kto, że on te rzeczy widział, a to było tyla z głowy, tak sobie układał.

— Myślicie, matulu — rzecze — że to nieprawda?... Niech jeno kiedy pójde w świat, to po kolei wszystkiego odszukam.

— To ta nie dla chłopca — powiada matka — gonić wiatr po świecie; jak urośniesz, musi ci niestatek z głowy wywietrzeć. Nie żadneś przecie pańskie dziecko, żebyś był włóczykijem, czy obieżyświatem!...

On już miał taką naturę, ten mały. Nieraz matka opowiadała babom, że kiej inni w nocy spali, Beldonek nie spał; wpatrywał się jeno w ciemności, a bał się czegoś, choć przy matusi legał.

— Ciarki mnie nieraz oblażą — mawiała Beldonkowa matka — bo może do tego dziecka

załazi zmora, albo strzyga... Zakryje, bywa, obie ma rękoma oczy i drze się ze strachu, że coś takiego widzi, a tu jako żywo nic niema. Budzi się rano, dziwności opowiada, bo mu się osobliwe rzeczy przyśniwają. — Matusiu — mówi, — obejrzyjcie-no mnie całego, czy niema na mnie jakiego znaku od spadnięcia, bom w nocy był het pod samem niebem i musi do samego rana spadać na ziemię, lecący stamtąd. — Toś nie spadał — gadam mu, — jeno rosłeś wtenczas, kiedy ci się to obśniwało. A on nie wierzy.

— Poszlibyście go oto z gęsiami na błonie — powiada do matki stryjna Beldonkowa. — Chłopak bez roboty i z tego mu się we łbie różnie roi.

— A może — myśli matka.

I posłała go paść gęsi na błoniu zawraz z innymi chłopakami ze wsi.

Gdzie on ta o gęsiach miał myśleć!

— Pokarczne jakieś dziecko — powiadają ludzie, — musi go w małości kto na rozum urzekł, a tego nie odczyni, bo okrutnie wewnątrz.

Pasał on to ta gęsi? Licha miał pasać! Bieży nad wodę i słucha, powiada, że niby taka płynąca struga do niego też coś gada.

— Co znowu ma gadać! — mówią mu dzieci inne, bo nie miały takiego bałamuctwa w myśli.

A on koniecznie napiera, że gada, że wyraźnie słyhać:

„Trylili, jedziemy, płyniemy..."

Stój, prrruuu!

Jazda dalej, niema czasu,

Bel-bel-donku, bądź zdrów!...“

To się naśmieli z niego pasterze, a hurmem latali za nim po błoniu dla osobliwości.

Drugi raz znowu staje przed drzewem i pyta tamtych dzieci:

— Albo wy wiecie, co ten tam trznadel wyśpiewuje na gałązce?

— No, cóż? Ty sam tego nie wiesz, tak sobie ano śpiewa i po wszystkimu — powiadają pasterze.

A on zaraz udaje śpiewanie trznadla i odrzeknie:

„Ze zdechłego cielęcia będzie niicie!...“

— Tać rychtyk, prawda!... — mówią one chłopaki, i dopiero jeden przez drugiego powtarza: — „Ze zdechłego cielęcia będzie niicie!“

Bo on to tylko trznadla tak spatrzył. Kiej wróble świerkały na wierzbie, Beldonek zaraz powiada, że one rozmawiają, jeden mówi:

— „Filip, Filip!

Wiesz ty kaj księży jęczmien?“

A drugi mu na to:

— „Wiem, wiem,
Lećwa tam!“

O gęsiach, to znowu powiadał, że się tak rozmawiają:

— „Jagata, Jagata,

Dałabyś nam a to żreć, żreć!“

Do takich oto rzeczy, to ten chłopaczysko był jedyny, ale nie do pasania, czy innej jakiej roboty. Do gadania miał okrutne przekonanie, i jak co do czego przyszło, mógł nawet staremu niejedno wytłómaczyć.

— Wiecie wy ludzie — powiada raz — że po świecie chodzi dwoje starych, siwiutkich ludzi, oboje strasznie obdarci. Ona się zowie Zima, a on Mróz, chodzą i ziebią to ludzi, to zwierzęta; bo im się chce zagrzać przy kimbądź.

— No, a cóż takiego będzie Wiater? — pytają go.

— Wiater — mówi on, — to ogromny mocarz, takóž po świecie oblata wokoło, i raz tak było, że się oba spotkali z Mrozem; jeden drugiego okrutnie wyzywał. Ma się wiedzieć, co Wiater zmógł tego starowinę, kiej się za lby z sobą wzięli. I już teraz zawdy między nimi przychodzi do bijatyki, to wtenczas jest zamieć, a jak między nich wlezie człowiek, to go jeden mrozi, drugi zasypuje w śniegu. Czasem Wiater chce pokazać Mrozowi, co za siła u niego, to się oprze nogami na gruncie, a rękami chwyta za wierzch stodołę czy chałupę i dopiero rżnie o ziemię.

Jak raz znowu baby napotkały Beldonka, tak mu mówią:

— Słuchaj-no, w twoich latach drugie dziecko to i na zagon pójdzie z sierpem, zajmie garść na równi z setną dziewczką, a snopa choć może nie zwiąże, to go podźwignie... Nie wstyd ci próżniaku?

— Was nie wstyd, że nie wiecie, jak to jest, a ja się będę wstydał?

— Cie go, jaki to rak, ze starymby się przekomarzał!... Mądrala w języku, a wszystkiego pewnie nie wiesz!... Kiedyś taki, powiedz, bez co słońce w dzień jeno świeci, a miesiąc w nocy?

— No, bez to, że słońce jest pan ojciec, miesiączek — pani matka, a te małe gwiazde-

czki — ich dzieciątka; one rosną pomału, a ojcowie im nie chcą oddać gospodarstwa. Pani matka to je czasem jeno w nocy wyprowadza z chałupy, bo jakby je w dzień wyprowadziła, toby z góry zobaczyły, że tutejsi gospodarze dzieciom swoim het oddają grunt a chałupę i zarazby się upominały...

II.

Miał ten Beldonek niecałych osiem lat życia, kiedy go odumaria matka. Zbeczał się strasznie, bo się bardzo oboje kochali z matusią, ale go ludzie ciągle pocieszali:

— Nie płakałbyś o to — nie, matusia twa poszli na tamten świat i patrzą stamtąd na ciebie, czy ci się na tym świecie krzywda jaka nie dzieje...

Uspakajał go tak stryk, ujek, stryjna, ujna i inni ludzie. Jakoś żał przeszedł, lecz chłopak nieraz sobie myślał, co matusia jego robi na tamtym świecie i czasem go okrutna chęć brała, żeby też odwiedzić matusię. Nieraz mu się śniła, chwycił ją za szyję, a kiedy rano wstał, żałował, że się matusinej zapaski lub spódnicy nie czepił i z nią na tamten świat nie poszedł.

Z początku w chałupie stryka Matusa było mu niczego, nieźle: raz dostał nawet od stryjny kromkę chleba z miodem, zjadł, aż palce oblizął. On ta nie wiedział, że po pani matce ostały dla niego dwie krowy, ciele, żrebna kobyła, wieprzek, wóz, chałupa, no i grunt. Stryk Matus był opiekunem i w jego chałupie chował się chłopak sierota.

Nie wyszło miesiąca od śmierci matusi, a już stryk i stryjna zaczęli zapędzać Beldonka do ciężkiej roboty. Była mu pasać nie pozwalano,

bo to robił Wojtek, syn stryka. Był na posłudze przy chałupie, przy stodole, w polu, gnój z pod bydła wyrzucał. Ale mu się robota nie paliła w rękach, niby to robił — nie robiący. Raz, drugi, dziesiąty zgadał go stryk Matus, a jak nie nie pomogło, to powiedział, co „takiego prawie jeno na zarobek do dwora posyłać i za te pieniądze wziąć do chałupy innego jakiego spychacza...”

To chodził teraz Beldonek do dworu na zarobek, brał na dzień dwanaście groszy od pieleń, dziesięć groszy od kręcenia powróseł, od poganiaczki za pługiem, albo od wyrzucki słomy przy maszynie do młócenia. Do rozrzucania gnoju na polu, do sadzenia — to go nawet przyjmować nie chcieli.

Robota we dworze była mu najcięższa, bo nie dosyć, że polowy stał ciągle na karku i doganiał, ale jeszcze chłopaki i dziewczuchy wyprawiały sobie z niego pośmiewisko.

— Był-do-nic, był-do-nic, Beldonek! Co miało znaczyć, że nazwisko Beldonek, wyraża jakoby człowieka do niczego.

Nawet do porachunku w niedzielę rano nie mógł sam przychodzić, tylko stryk z kwitkami chodził do dworu i pieniądze odbierał; a i on, kiedy powrócił, był zły, markotny, gdyż tak polowy, jak ekonom, mawiali, że:

— Takiemu rakowi niema za co płacić, bo jego robota łyżki żuru nie warta...

Jak zaś poszedł parę razy sam Beldonek do porachunku, to go tarmosili, popychali, drwili, — raz mu nawet koszulę rozdarli, a drugi raz czapkę na strzechę rzucili.

— Niemrawiec jakiś, dyć on przez zagon nie przelezie, ino się zara potknie, lebo przewali. — Wydziwiali chłopcy.

A dziewczęta, to nawet śpiewkę ułożyły:

— „Oj był ci Beldonek,
Nikiej mysi ogonek,
Kuśtyk, kuśtyk, kuśtyk!...

Zmierzył sobie chłopak to wszystko; robota bo i tak w głowie mu już nie była. Dopiero jak kiedy zobaczył, że przy nim niema nikogo, to zaraz dalej gadać z sobą samym coś tak dziwnego, co go ludzie nijak zrozumieć nie mogli; choć kto podsłuchał, to i tak nic nie wyrozumiał, bo całe gadanie było nie do rzeczy.

— Jacy niespełna ma w głowie; musi czegoś takiemu koniecznie brakuje — powiadają jedni.

A drudzy znowu:

— Taki sierota, to się czasem chce na desperaka wykierować... Choć ta i strykwie do brzy ludzie, zawdy to nie rodzona matka.

On tak doprawdy czegoś pogłupiał, nie był już taki mowny, jak dawniej, osowiał jakoś. Czasem do niego w chałupie zagada które, a on nic; no, mogło być nie do wytrzymania, jak sobie z niczego nic nie robił.

— Hanka — mówi stryk do swojej, — ten chłopak coś tak jakby na bont patrzył. Niema on przypadkiem żalości w sercu po nieboszczce bratowej?

— Gadanie — powiada stryjna, — jacy chłopczysko żadnego baczenia na nic niema; mów co do niego, to jakby na psa przyłatał... Szturmak taki, i koniec.

Kazała mu raz ta stryjna narwać pokrzyw; rwał, rwał i narwał; ale mu ogromnie ręce popuchły, bo te pokrzywy były strasznie parzące, mu-

siał jeszcze to zielsko potem posiekać, a ona je sparzyła wrzącą wodą i kazała chłopakowi, żeby to prosiętom zadał w korycie. On wziął i zrobił. Dopiero te zwierzęta okrutnie w chlewie kwiczały, jak poczuły, że im jadlo stawiają; tak on je puszcza z zamknięcia, a to bestyjstwo rwie się do koryta bez żadnego upamiętania — zwyczajnie jak świnie. Wpadają chłopakowi hurmem pod nogi, pchnęły i przewaliły go na ziemię. No nie, żrą z koryta, jeno mlaszczą, a chłopak się podnieść nie mógł, bez to, że go od tych pokrzyw paliły strasznie ręce i nogi. Z takiego bólu, co mu się aż na płacz zbierało, złość go porwała na one świnki, tak dopadł jednej, łap ją za ucho i dopiero pięścią zaczyna młócić gdzie popadnie. Świnia w kwik, on precz wali, a inne ją odjadają. Wylatuje z izby stryjna, widzi taki rozgardyasz, przypada do chłopaka i swoim porządkiem jego znowu chwyta za ucho jedną ręką, musi lewicą, a prawicą grzmoci za plecy, aż w chłopaku jęczało.

Setnie go skatowała, bo była zawzięta, rozżarta o to prosię.

Siadł przed chałupą na pogródce, wziął głowę między ręce, beczy z tego wszystkiego. A tu przychodzi stryk i od swojej dowiaduje się o tych sprawkach; nie powiedział nic, jeno poszedł do komory, wyjął skądś kawałek powroza, złożył go sobie we dwójkę, jak się patrzy, trzyma go z tyłu, cicho podchodzi do Beldonka i ściągnął go ucziwie. Tak chłopak aż się przegiał; zaraz chciał gdzie uciec. Ale cóż, kiedy go stryk dostał do garści — trzyma, a skórę rżnie na stojący i raz po raz powtarza: „będziesz ty drugi raz katował boskie stworzenie!...”

Musi dużo bólu miał chłopiec, bo posiniał na gębie; ale jak go stryk z rąk wypuścił, to się wstrzymywał od głośnego płaczu, bo mu mogli jeszcze co przyłożyć. Dopiero kiej stryk poszedł z tym powrozem do izby, Beldonek w nogi, puścił się w pole, goni co żywo, i wtenczas już zaczął tak ryczeć, że ludzie na okolicę przy robocie postawali, żeby widzieć, co się dzieje. On het bieży, gdzie to tam już chałupę zostawił; wypadł na chłopskie grunta — przeleciał miedzami, jeno się migał ludziom w oczach; wpadł na dworskie pola, a nie żwawości w nogach nie stracił. Miało się już pod wieczór, kiedy chłopak, popłakując, wyszedł za granicę wsi swojej. Idzie już potem drogą, płacze coraz ciszej, skoro się oddala. Dostyć, że się całkiem uspokoił.

— Nie wrócę ja już do nich, nie — powiada sobie — pójdę kajbądź, pójdę na tamten świat do matuli, a do strykowej chałupy nie wrócę...

Jak sobie pomyślał o matusi, o tamtym świecie, tak mu ulżyło w markotności; widział niby, że mu się teraz nikogo bać nie trzeba. Tak jeno pomacał ręką po plecach, ale czuł, że go jeszcze okrutnie boli. Nic, ciągle idzie; sam nie wiedział, skąd mu się na śpiewanie zebrało i zaśpiewał sobie:

„Matus, matus moja,
Już ty w grobie leżysz;
Ja się poniewieram,
Może o tem nie wiesz...“

Kiej to przyspiewywał, tak znowu myśli: „daleko też może być do tamtego świata?“

— Trza — powiada — iść i iść ciągiem, to koniecznie dojdę.

Widzi słonko się opuszcza, ładniuskie takie, migotliwe.

— Rychtyk — myśli, — ono na tamten świat idzie; pójdę het za słonkiem.

Tak się puszcza tego, bo się chłopakowi widziało, że on jeszcze przed nocą do słońca dopadnie, że na noc zajdzie do tamtego świata, do swojej matuli. Ale się już zadyszał, ustał zupełnie; siadł wedle drogi i patrzy w ono słonko, co akurat jakby leżało na ziemi; — wiadome rzeczy, zachodziło na inne światy. Przygląda się, a słonko jeno mig, mig, gasło tak nikiej kaganek czy łuczyno, jak się już dopala. A na chmurach się tyła mieniło od ognistości i takie się czerwone porobiły jakieś wieże, kościoły, pałace czy co takiego.

Wstał, ledwie już lezie, zdrożył się chłopaczyna; patrzy — wieś jakaś, już był daleko od domu. Ale się bał czegoś iść do tej wsi między ludzi i nie poszedł. Nasłuchuje tylko zdaleka, czy też tu tak samo, jak we wsi jego.

A jakże, słyszał precz — psy ujadły na różne głosy, — krowa ryknęła raz po raz, — gęsi się zadarły wszystkie od razu jednym głosem, — baba jakaś ciągiem nawoływała: taś, taś, taś!

Niema co, poszedł między zboża; słońce zupełnie zaszło, zmierzch był; siadł sobie na miedzy, a tu chrabaszcz buczą naokolusienko i tłuką mu się o głowę, niech ta; podparł sobie głowę na obu rękach, sam nie wiedział o czem myślał. Zdawało mu się, że w tamtej stronie, gdzie słoneczko zgasło, przepióreczki wołają na niego: „Beldonek, Beldo-nek!...“ I potem znowu: „Idź — precz! idź — precz!...“

Rozpatruje się po chłopskich półkach; choć był mrok taki spory, poznał, że ma po jednej stronie żyto, jak las gęste, a po drugiej — aż pachniała koniczyna. Patrzy dalej, za półkami łąki, a no opary się na nich bieluśkie dźwigały w górę nikię białe chusty czy rańtuchy. Tak się to to wlokło po powietrzu, jakby chodziło jakie żywe — raz wyżej, znowu niżej, szło aż na pola. Kiej się wpatrzył w te mgły, zaczął go sen ogarniać, zamknął oczy i usnął. Ciepława taka lipcowa nocka, najlepiej się wtedy sypia na polu, to on też spał bardzo twardo do białego dnia. Dopiero go nad ranem trochę ziębiło, bez to, co rosa osiadła na nim okrutna.

Wyspał się porządnie; jak wstał z tamtej miedzy, był ogromnie żwawy, tylko myśli — czem się ta będzie pożywić? Jak spojrzął teraz na słoneczko, tak sobie zaraz wspomniął, że ono wczoraj na wieczór zachodziło, jeno całkiem zobaczył, w którym miejscu: no, bo było już gdzieś indziej na niebie.

— Ej, co tam — powiada — wszędzie trafię, byle iść drogą prosto przed siebie...

Skoro wstał, zaraz okolił tę wieś poza ogrodami i wyszedł na drogę prościutką, jak strzelił.

III.

Słońce już wysoko było na niebie i Beldonek daleko za sobą zostawił wieś, gdzie nocował; poczuł głód i prawie żałował tej ucieczki swojej z chałupy stryka Matusa. Zawsze przecież o tej porze dnia byłby tam dostał od stryjny swojej porcję na śniadanie: — porządną sztukę chleba i z pół garnuszka żuru. Chłopak westchnął, bo

o powrocie ani myśleć; zdawało mu się, że już przeszło bardzo dużo czasu, jak uciekł; powrót we dwoje złożony byłby niezawodnie w robocie.

Tymczasem jeść mu się chciało; pomyślał, że mógłby wpaść na pole i narwać ludzkiego grochu, albo wyleźć gdzie na dziką gruszę i dostać trochę owocu. Ale był bardzo nieśmiały. Jak się tu nawet mógł pokazać obcy człowiek, kiedy wszędzie w polu pełno było ludzi? A tu się jeść chce i chce coraz bardziej. Posłyszał, że w nim parę razy głośno zakruczało; zdawało mu się, iż najwyraźniej słyszy, jak się żołądek ludzkimi słowy dopomina: „żu-ruru, żu-ruru, gwałtu — chle-ba!“

Patrzy Beldonek, a tu las. Ha, w lesie są różności do jedzenia: grzyby może jeszcze lepsze niż kartofle, tylko trzebaby je koniecznie upiec; są tam i orzechy, ale o tej porze muszą być jeszcze bardzo młode; — to nic, młode orzechy są słodkie jak mleko, trzeba je tylko znaleźć. No, a jagody czarne i czerwone, a jabłkonki z płonkami? Zjadłoby się co bądź.

Jak tak myślał, tak zapomniał o tamtym świecie i wlaź do lasu. Idzie, idzie i spostrzegł śliczną polankę, aż się mieniła od zieloności; porwało się z niej kilka ptaszków i wiewiórka w wielkim pośpiechu umknęła na drzewo. Chłopak nic, tylko upatruje, czyby się tu coś schrupać nie dało. Zaraz przy brzegu tej łączki pomiędzy drzewami rosła zajęcza kapusta, rosła kupkami jak rozsada, — to rwał i jadł. Na polance pełno było szczawiu, znowu go jadł, aż mu zęby na nic ścierpły; potem narwał kwiatków białej koniczynki i miód z niej wysysał, jak pszczoła. Miał ochotę pochwyć trzmiela czy

tam bąka, który sięopił miodu z kwiatów, — byłby chłopiec wyszał ten miód z niego, ale takie leśne baki — to strasznie mądre, i uciekały.

Poszedł w las dalej, już nie był taki głodny, a tu na porębie pełno poziomek, aż proszą się, żeby je zbierać; znalazł też moc borówek i prześlicznych jażyn; nietylko się najadł należycie, ale jeszcze uzbierał tego pełny kapelusz.

Jak sobie podjadł, tak zaczął myśleć, co tu teraz robić? Bo się przecie wybrał w drogę na tamten świat do matysi. Spojrzy na ziemię, a tu z jakiejś dziury wyleciał zwodzijaszek, taki mały ptak, co go też mysim królem nazywają, albo durzy-ludkiem.

Ptaszek ten zadarł do góry ogonka, patrzy się na chłopaka i zaczyna wrzeszczeć:

— Precz — precz, precz — precz!

— A no, to on mi widzę precz w świat iść każe — pomyślał sobie Beldonek. — Ptak, co trochę to skoczy po ziemi, to się na chłopaka obejrzy i znowu dalej leci, a ciągiem nawołuje: precz — precz!

Tak też Beldonek precz szedł za nim, a on to się schował w jaką dziurę, to znowu wyskakiwał, niby to prowadził chłopca. Oba tak jakiś czas het w las się zapuszczali, a chłopak myślał:

— On mnie tu pewnikiem na skraj tego świata prowadzi.

I chciał Beldonek chwycić tego ptaszka, bo mu czasami pod samą rękę wlaził; ale co chłopak podszedł, to zwodzijaszek myk i już go niema, suwał się rychtyk jak mysz jaka.

Przyleciał on zwodzijaszek do jednego krzaka i tam się drze już inaczej: „śmierć, śmierć!“ — woła, a Beldonek się zastanowił, bo nie wiedział,

co to znaczy. Dopiero potem z owego krzaka wypadł drugi jeszcze mysi królik, a za nim czterech mniejszych, bo ten drugi był na pewno matką, a reszta — dzieci. Narobiło toto ogromnego wrzasku, i znowu poczęły owe ptaki wodzić Beldonka po lesie — to tu, to tam; ale się między sobą wszystkie trzymały kupy.

Przyleciały nad jakąś wodę, on się zaś tak zapędził, że patrzy, a tu po kostki brodzi w wodzie, więc sobie zaraz pomyślał:

— Oho, nie głupim, tuby się człowiek na nie stopłał.

I nie poszedł już dalej, tylko sobie siadł i myśli, co też tam o nim teraz w chałupie mówią — stryk Matus, stryjna i Wojtek; musieli go pewniczkiem pomstować, że tak pokryjomu uciekł. A one zwodzijasze, jak wpadły między sitowie, to go tam duchem ciągnęły do siebie, żeby szedł, wołały: „precz, precz!“ On nic, nie idzie, bo widział, że woda przed nim duża, ogromna topiel.

Na jeden raz, jak coś grzmotnie w tym bajorze — rany boskie!

Grzmotnęło raz i drugi, aż się las calutki zatrzęsł — tak okrutnie ktoś strzelał.

Dopiero Beldonek widzi, że to nie żarty, struchlał cały, dygotał ze strachu i w te pędy pod krzak się wcisnął. A tam w onej topieli jakiś straszny gwałt się zrobił; szumiało coś i pluskało ogromnie; dzikie kaczkizrywały się i pluskało ogromnie; straszne trzepotaniem, leciały w górę powrzaskując: „strach, strach!“ Więc on myślał, że strach musi być jaki wielki, kiedy się tak kaczkizdrą i uciekają, a tych zwodzijaszków, to już ani dychu, ani słyhu. Tak

jeno z pod krzaka wypatrywał, co będzie z tego wszystkiego.

Aż tu naraz wypada jakiś człowiek nie człowiek, cały taki stoplany, że się woda z niego siurczkiem lała na wszystkie strony. Beldonek zamrużył oczy, bo nijak nie mógł patrzeć na takie rzeczy, od razu stracił czucie i rozum w głowie; staremuby to napędziło strachu, nie dopiero małemu.

Ten człowiek miał na ramieniu zawieszoną strzelbę i torbę, w rękach trzymał pobite kaczki, z których się krew tak lała, jak z niego woda, — oczy były jakieś zakrwawione, straszne wąsiska i ruda broda, na nogach łapcie i ręce poza łokcie zakasane.

Beldonek od razu sobie pomyślał, że to musi być zbój jaki, czarnoksiężnik, albo i sam topielec. A one zwodzijaszkki pewnikiem tu umyślnie chłopca sprowadziły, żeby tego świata więcej nie oglądał; więc też pod krzakiem aż go zimno tłuc poczęło, tak się zestruchał. Jak się bać nie miał, kiedy ten cudaczny człowiek siadł blisko niego i zaczął dobijać kaczki, które były jeszcze co nieco żywe — precz im tłukł i rozbijał lby o drzewo, aż chłopaka mrowie przeszło na takie straszności. Dobrze jeszcze co on wąsala tyłem siedział do krzaka, w który się Beldonek cały do krzty zaszył. Potem chłopak patrzy, a ten jakiś dobywa z torby flaszkę i pije gładko, ciągnie porządnie — gul, gul, ani się zachłysnął. Kiej już wypił, to położył głowę na mchu i dopiero zaczął okrutnie chrapać, tak chrapał, że aż het w lesie słyhać było.

— Śpi on, czy nie śpi? — myśli sobie Beldonek — bo jakby spał, to najlepiej wziąć nogi

za pas i w las buchnąć. Ale cóż, taki może tylko udawać spanie, a zbudzi się, to jak nic, jak amen w pacierzu weźmie i utopi człowieka w bagnisku.

No, wysunął teraz chłopak po cichu rękę z krzaka, a ten mocniej jeszcze chrapnął, aż mu się w gardle coś zastanowiło — tak się był w chrapaniu jakoś zaciął. Beldonek wysunął znowu naprzód drugą rękę i potem jeszcze pół siebie po pas, bo chciał uciekać. A tamten śpiący chrapnął okrutnie: „kłaa-ap“ i poruszył się cały na trawie.

— Dola moja biedna! — myśli sobie chłopak.

Ale już nie czeka, jeno co będzie, to będzie; jak się porwie z pod tego krzaka, nikiem zając, i w las od razu sunął. Tak on człowiek widać się ocknął, bo w niebogłoty ryknął:

— Stój, psiawiaro, bo strzele!...

Beldonek już był na wszystko gotów, nie nie pyta, jeno sadzi przed się — krzak nie krzak, mrowisko nie mrowisko: a niech ta strzela!...

I uciekł. — Bóg wie, co za jeden był tamten człowiek; jużci zły jakiś być musiał: — może taki przypoludnik strzyga, może leśny, a może i topielec, czy też zbójca — wszystko jedno. Chłopak ledwie się w biegu upamiętał, tak smyrzał; ale uciekł nareszcie i wtenczas już sam do siebie powiada:

— Nie lepiej mi też było w strykowej chałupie siedzieć, choćby i tym powrozem brać w plecy? To tu widzę w takim boru niewytrzymanie ludzkie.

Już się teraz okrutnie miał na baczeniu; myślał tyła, żeby się na czyste pole jako wydobyć. Bór był strasznie duży; Bóg jeden wie,

gdzie dymać: może naprzód, a może wtył, czy na którą stronę?

IV.

Zaraz po południu był przyparek, człowiek ledwie dech z siebie puszczał, tak się duszno zrobiło w powietrzu. Zielona żabka w krzakach ciągiem wołała: „krew, krew, krew, daj, dech, dech, daj!“

Chłopak się zraził tem wszystkim, co było, i miał się już teraz na baczeniu, żeby nie iść w tamtą stronę ku owej wodzie, gdzie napotkał straszego człowieka. Doszedł akurat do poręby, jeno sobie rozmyślał, czy on tu już był, czy nie był; bo tam rosło jagód co nie miara, to może były te same, co je rano zbierał. Naokołusienko darły się świerszcze, aż w uszach głośnyło: firliiii, tirlirii, rirlirii, — przeróżne muchy się roily, a jedne brzęczały: tinnn, tinnn, drugie znowu: bzzz, bzzz.

Porwała się z trawy kraska, ptak śliczności, jak co cudownego, i w las poszła; różne malutkie ptaszki zbierały coś w trawie; one się także zrywały i uciekały precz jeden po drugim. Jaszczurki, wywijając ogonem, zmykały na wszystkie strony i wąż długi zmykał w gestwinę, tak co jeno trawa szumiała — takie to było jakieś zmęczone. Na brzegu lasu kreciły się po gałęziach sikorki wpół niebieskie z białemi główkami, przechylały się z drzewa, spoglądały na chłopca, wołając: fig-mig, fig-mig, a fertały się co żywo.

Beldonek bo się jeszcze bać ciągle nie przestawał, raz po raz zerkał w tamtą stronę ku wodzie, skąd przyszedł; myślał, że mogło za nim co gościć.

Wtem słyszy — koń parska, patrzy, a tu ku niemu jadał jacyś, musi być ogromne państwo, bo konie strasznie minowały: lby pozadzieraly do góry i aż się na nich mieniły mosiądze, czy co takiego. Tak on na bok w krzaki, schował się, bo kto ta wie, co mogło jechać. A to dwoje jechało. Na jednym karym koniu siedział pan, na drugim siwym — jakiś cudak: musi nie chłop, bo nie siedziało okrakiem, tyła tak, jak się na ławie siada. Chłopak się przelał — dziwno mu było. Te oba konie strasznie się rwały do biegu, bo im okrutnie dokuczały leśne muchy, jacy śleponie, co jak się wpiją bydłciu pod siartkę, to je zabijesz, a nie spędzisz. Dopiero to, co na koniu siedziało okrakiem, powiada:

— Ja swojego siwka już dłużej nie utrzymam w garści, bo mi ręce na nic zemdlały, a muchy go tną.

Ledwie to rzekło, a siwek jak się kopnie przez tę porębę, jeno trawa zafurczała i ziemia bębniła. Drugi też koń za nim — i tak gnali het, het.

Chłopakowi aż się lżej zrobiło; odetchnął: „chwałaż ci Panie.“ No, boć te cudaczne osoby w takiej pustce Bóg wie co z nim mogły zrobić i niktby nawet nie wiedział, — a one sobie poleciały i koniec. Więc Beldonek już teraz wcale nic wychodził na porębę, miał boja, żeby znowu w otwartości na co nie utrafił.

Niedługo potem nasłuchuje, a tu grzmi ciężko, jakby kto naraż furę kartofli zwałił; w niebie tak zahuczało.

Ha — myśli sobie, — może ta i ci, co przejechali, naprowadzili na las chmurę; mogli być planetniki, toć żywcem na to wyglądali: byłby to z prostego człowieka taki latawiec?

Tylko co sobie pomyślał tyle, a tu się ściemnia i po nad lasem ciągnie chmura okropności, taka czarna jak smoła. Zagrzmiało teraz mocniej, jakby tuż po moście z pięć wozów przejechało, potem znowu zagrzmiało jeszcze mocniej, nie przymierzający jakby ze stu chłopów biło na boisku zboże cepami. Zrobiło się na świecie ciuchuteńko — ptaszka, motyla, muchy ani widu, i drzewa wszystkie jakby spały. Beldonek już wiedział, że koniecznie będzie jakaś słota z tego. Wychodzi sobie w zagajnik na ścieżkę, a tu co raz to mu na nos „pac“ kropla deszczu; przed nim też na ziemię jak padło, zaraz widział, że się na gruby, nagły deszcz zabiera. Leciał duchem, coby dopaść wielkiego drzewa i zaraz sobie upatrzył siadłego dębczaka; a no, dopadł wnetki pod gęstwą gałęzi i liścia, wlaź tam, czeka co dalej...

Słysz, po gałęziach precz tnie, musi ogromne krople leciały z nieba, bo tak z razu zaszumiało, jakby stado wron zapadało na onego dęba; ale jemu nic, — siedział sobie, jak w chłupie: niech się wypada, wydzdzy.

Wtem naraz jak się łyśnie, aż w gąszczu wszystko przejrzał wyraźnie, jak przy latarni, taka się jasność wkoło rozlała. Ledwie co głębę otwarł, chciał powiedzieć: „wszelki duch Pana Boga chwali“, a już nie miał czasu. Jak wytnie — warara, tarara, barara! Huk, gwałt, łomot, rany boskie, żeby się chałupa i stodoła odrazu zawaliły, toby tego jeszcze nie było!

Wzdrygnął się cały Beldonek i osłupiał; jakże nie miał, kiedy to piorun trzasnął w drzewo zaraz o parę kroków od niego. Tęgi musiał być on piorun, bo z drzewa jak strzępki pole-

ciały gałęzie — wszystko poćwiertowane i swąd taki poczuł dziwny, gorzej niż od zgorzelizny. Już nie miał serca spojrzeć, co się dzieje, jeszcze sobie oczy zakrył rękoma, i jak tylko trochę przyszedł do siebie, tak zaraz co tchu drapnął z tamtego miejsca. Bieży, omal nie płacze z takiej doli, ciągle mu w głowie stoi jeno ów huk okropny z pioruna.

Jeszcze z tamtego impetu nie ochłonął, a już miał co nowego: słyszy po drzewach: „pęc, pęc, pęc;“ pędzi co żywo, a tu go po głowie i powszędy: „łupu cupu, łupu cupu;“ grad taki rżnął, ciął chłopaka do bóla, a z drzew gałązki i liście precz obrzącał. No, cóż? Beldonek uleciał kawałek drogi, — nie do wytrzymania, grad bije a bije. Musiał teraz znowu wleźć pod inne drzewo, żeby się jako tako ochronić; ale miał lęk, strasznie mu było pomyśleć, że i tam także mógł piorun trzasnąć.

Bogu dzięki nie trzasło, uchronił się całkiem; niewielkie rzeczy, że go ta trochę namoczyło i potłukło; nie miał z tego bólu nawet tyła, co kiej go stryjna za plecy wygrzmociła, — więcej strachu niż czego

Dużo tego gradu w lesie zostało; leżały setne kule lodu w trawie, ziębiło toto i narobiło zimna. Kiedy się počzęło zmierzchać, chłopak sobie rozmyślał: jak tu będzie nocować w boru? Na ziemi byłoby mu trudno wyspać, zmarzłby porządnie w tym lodzie, nie mówiąc już, że w takim lesie muszą być wilki; nie obeszłoby się bez tego, żeby się który nie zatknął na dziecko, toby zjadł pewnikiem. Beldonek był markotny przez to, chodził po lesie, a wypatrywał gdzie drzewa, żeby noc spędzić jak kura na grzędzie. I wy-

lazł na jedno takie drzewo, bo sobie tam wypatrzył doskonale siedzenie; zasiadł się okrakiem na gałęzi, plecy oparł o sam pień, a z obu boków miał też takie oparcie, że w żaden sposób nie mógł spaść na ziemię. No i chciał spać w tamtem miejscu, choć sobie w duchu myślał, jak to złe, że nie będzie spał w chałupie między ludźmi, czyli też w obróce z bydłem, zawdyby mu było raźniej.

Po tej słocie wypogodziło się na noc porządnie, miesiączek wszedł na niebo i świecił galanto. Chłopak, ile że po takich tarapatkach, był bardzo senny, to też się zaraz zdrzemnął; ale co tylko oczy zmrużył, a tu nad nim, prosto nad samą głową, jak coś krzyknie: „uuu-huu!“ On oczy otwarł, wytrzeszczył, gębę rozdziawił i obiema rękoma mocno się gałęzi uchwycił, bo jakby co złego wrzeszczało, to go mogło stamtąd strącić; włosy też Beldonkowi do góry prętem się na głowie podniosły. A to była taka wielka, uszata sowa leśna; ona sobie rychtyk to samo drzewo upatrzyła, siadła i tak pokrzykiwała z umysłu, bo gdzieś blisko musiała mieć małe. Ludzie powiadają, co się takóŜ przytrafia, że zły włazi w onę sowę — wszystko kóli temu, żeby psotę ludziom robić. Niema dziwoty, że chłopak, już za dnia zestrachany, uląkł się takiego wołania. Ale wziął coś na odwagę i z całej siły trząsnął drzewem; słyssał, że ten ptak zabrał się i odleciał; nie poleciał daleko, jeno opodal znowu zasiadł i jeszcze głośniej wrzeszczał: „uuu-huu!“ Trudno było usnąć; chłopiec spał nie spał, zwyczajnie, jak mysz na pudle. Tak wytrzymał do samego świtania; o świtanu, to się też sowa drzeć przestała; na widoku było mu raźniej i usnął.

V.

Dzień był już należyty, kiedy się Beldonek na dobre ocknął; popatrzył z gałęzi ku dołowi i widzi, że on spał akurat blisko drogi. Tego dnia wypadł jarmark w Chmielniku, więc nim zlazł z ówtego drzewa, spostrzegł, jak pełno ludzi waliło tamtędy. Zwyczajnie, — jeden szedł, drudzy jechali na kołach, to wierzchem; gwarzyli, a nikt ta w górę nie patrzył. Chłopak nie chciał z drzewa zlazić, bał się, żeby go ludzie nie zobaczyli, myślał sobie: jak się toto wszystko przewali, wtenczas zleżę. Cóż miał robić? Przyglądał się z wysoka, kto taki idzie, — i zaraz poznał, że szli ludzie z jego wsi, — a jakże, precz poznawał swoich; poznał sołtysa nie tyle z osoby, ile z kałduniastej myszatej kobyły, co miała jedno krowie ucho — takie kłapciaste. Patrzy dalej, a tu na wozie we dwie szkapy jedzie stryjna jego, stryk zaś powozi, rychtyczek oni byli — takusieńcy sami.

— No, moi ludzie — mówi sobie w duchu Beldonek — to ten Wojtek, taki smarkaty, musi sam dzisiaj zostać doma na gospodarstwie.

Przyjrzał się lepiej jeszcze i zobaczył, że stryk wiózł na jarmark te same prosięta, co go to przy korycie przewróciły, jak im zadawał parzone pokrzywy. Stryjna się rozsiadła na całym wozie, wystrojona w turecką szmatę na głowie, a na podółku trzymała związanego koguta i dwie siemieniate kokoszki. Tak mu się to wszystko udało, że był rad z tego, co ich widzi, a choć miał złość do onych świnięk, byłby którą niebądź w ucho pocałował, bez to jako były z tamtej wsi, skąd i on pochodził. Na tę swoją radość o mało

nie krzyknął z drzewa; ale nie krzyknął, wytrzymał, jeno się już ciągiem w nich wpatrywał.

Na jeden raz kur, co miał nogi spętane, rozplątał się jakoś, poskoczył stryjnie z podółka i w nogi, poszedł het w las. Tak stryjna co żywo woła na swego:

— Słyszysz Matus, stój! Kokot psiadusza w las mi uciekł.

— Pruu, pruu! — ozwie się stryk i zaraz konie zatrzymał, zamotał lejce na drabinkach u wozu, naklął co nieco i za onym kogutem w las się puścił.

A no uciecha była dla Beldonka ogromna, bo się ten kogut nijak nie dał chycić, a jak go już stryk Matus bardzo przyparł, tak on „frrruu,“ i wio na drzewo. Siadł na gałęzi wysoko, wrzeszczy: „to, to, to, to — tak!“ jeno mu się pióra trzęsły w ogonie. Dopiero siemieniatki, co ostały u stryjny na podółku, jak zasłyszały to kogutowe wołanie, poczęły się drzeć w niebogłosość: „Kokoko — kowiaak!“ i trzepotały się okrutnie. Tu ich stryjna chce uładzić, lby do kolan przyciska, żeby hałasu takiego nie było, a tu konie znowu ruszają i lecą przed siebie. Tak stryjna Matusowa łap za lejce, żeby się wóz kaj nie wywalił i nie było większej jeszcze zgłoby; dopiero te kokoszki myk z woza jedna za drugą i hajże do lasu, lecą bez upamiętania. Beldonek, aż się za głowę złapał, czeka co będzie z takiego utrapienia. Stryjna teraz w lament, desperacya straszna i pomstowanie — na konie, na koguta, na siemieniaszki; precz przeklina a wrzeszczy:

— Matus, Matus! trzymaj, łapaj te psiajuchy, bo się kaj zadzieją!

Teraz to już Beldonek chciał z drzewa zawołać:

— Rety, co się dzieje!... tać ja wam sam kokoszki połapię!...

Ale cóż, stryk zaraz przyleciał do wozu z biczem w rękę; okrutnie był zły, tak zgadał, sklął ją, stryjnę, a od złości to koguta tak tarmosił pod pazuchą, co ptak aż ślepie na wierzech wywalił. Chłopakowi się odechciało zlaźić z drzewa, osobliwie, że uważał na strykowym biczu grube węzły, — mogło od nich boleć gorzej niż od powroza we dwójkę złożonego. A jak stryk cisnął stryjnie na wóz tego koguta, to się aż zakurzyło od pierza. I konie się też na to zaraz ustałkowały, bo im stryk naklął jeszcze sećniej, przywiązał lejce mocno, a potem poleciał w las za kokoszkami.

Beldonek sobie myślał:

— Jakbym ja im wlaź pod rękę, tobym jak amen w pacierzu oberwał sporo tym batem, — stryk wyłoiłby mi skórę, a rękę mają strasznie ciętą i bat też niczego. Niech oni ta lepiej już jadą do miasta, a ja swoją drogą polecę do chałupy.

Tak sobie myślał, bo mu się już okrutnie eniło żyć bez chleba i warzy. Ale oni stoją precz na drodze, bo te kokoszki były jeszcze raźniejsze od koguta. Stryk ułowił jedną, a drugiej nijak naleźć nie może, kajsik się zawieruszyła. Nie chciał jej już dłużej szukać, bo się bał pośmiewiska ludzkiego; jadący na jarmark z dobrą godzinkę i tak zbałamucił. I ta kokoszka całkiem przepadła.

Przyleciał stryk do wozu, był aż czerwony na gębie, tak się rozsierdził z onego utrapienia, zaraz ostro wsiadł na stryjnę, że ona wszystkiego narobiła:

— Wiesz ty, Hanka, — mówi on, — rozsiadłaś się sama jak kwoka na jajach, a tobie się tym batem dobrze należy! Jak ty zatracona wiązesz kury na jarmark? Nie masz w chałupie podostatkiem pakuł, żeby sznurek porządny ukreć. A nie to tykiem możesz powiązać bestye jedne!

I aż się trząśł cały ze złości, kiej na wóz siadał, a potem zaczął z miejsca konie tak okładać, że rwały jak wściekle.

Musieli co prędzej jechać, bo był wielki czas na jarmark; tak pojechali żywo, jeno się styjna ciągiem jeszcze oglądała za siebie, niby czy nie dojrzy kaj tamtej siemieniatki.

Już byli het w dali, gdy dopiero Beldonek zlązł z drzewa i powiada sobie:

— No, jak ja też tutaj tę kokoszkę znajde, to mi lżej będzie wracać do chałupy, bo się stryjna zcieszy, że jej zgubę wróce. Przecie mnie za znaleźne nie wygrzmoci.

Z wysoka na gałęzi to on dobrze widział, w jaką stronę która kura uciekała. Poszedł zaraz w zagajniki i począł płoszyć po gąszczu; chodzi w koło, precz woła: „a siiii, a siiii.“ Naraz ta kura wyskakuje mu z pod samych nóg z okrutnym wrzaskiem i taką nagłośnią, że go o kęs nie przewróciła, a potem leciała już pół o skrzydłach, pół na nogach — piechotą.

On gnał za nią, zawiał się, żeby ją złapać; kurze jeszcze nie dałby rady? Pochwycił siemieniatkę, ścisnął ją pod pazuch, a tymczasem ukrecił z trawy powrósefko jedno, drugie, związał jej nogi i skrzydła; zabrał się i idzie, myślał, że do chałupy trzeba już wrócić.

Uszedł parę stajenek drogi, spojrzy, a tam

pod drzewem siedzi dziadek z brodą siwiuską do samego pasa. Zastanowił się chłopak, a stary mówi:

— Niech będzie pochwalony;

— Na wieki wieków — odrzekł Beldonek. Tak ten dziad znowu:

Pomógłbys mi oto, chłopysiu, powstać, bo widzisz, stare już mam kości i jak gdzie siędę, to ich potem wyprostować nie mogę. Pan Jezus ci odpłaci nie na tym, to na tamtym świecie.

A no, chłopak podszedł i podparł sobą starowinę, a swoją drogą kurę mocno ścisła w garści.

Skoro ten dziad wstał, oparł się na ogromnym kosturze, tak pyta chłopca:

— Skądżeś ty mały? Może z jarmarku wracasz z tą kokoską?

— Bogaż tam iść z jarmarku! Do chałupy a to idę z lasa.

— Z którejżeś ty wsi taki?

— Mam wam powiedzieć, kiej sam nie wiem, jak się moja wieś nazywa. Tyla co strykowski memu — Matus, stryjnie — Hanka, a temu ich chopakowi — Wojtek.

— Czyjaż to kura?

— Naprzód boska, potem moja, kiedy się ta już zwydrzyła w lesie i złapałem.

— Kiej twoja, to mi ją sprzedaj; co ci po kurze?

Beldonek się podrapał po głowie, bo naprawdę nie wiedział, czy ta kokoszka jest jego, czy strykowa.

— Czegóż myślisz? Dam ci czeski samymi groszami.

Chłopak znowu myśli, bo zapomniał, siła to

czeski znaczy na pieniądze. Ale patrzy, że u tego dziada sakwa pełna kromek chleba, tak go oskoma chwyciła, podchodzi i powiada:

— Możebyście wy, dziadku, dali mi okruszynę chleba, bom tego okrutnie łaknący.

— A jakże, dam ci, dam! — powiada dziad, i zaraz wyjął z torby jedną kromkę, dał ją chłopakowi.

Tak Beldonek to zjadł, tylko się obliżał, i ciągle jeszcze łakomo na sakwę spozierał. Dziad widzi, co się święci, więc mówi:

— Jadłbyś widzę, ale się obejdziesz smakiem; jak mi tej kury nie sprzedasz, to już chleba nie dostaniesz.

Dopiero chłopak wziął i dziadowi siemieniatkę sprzedał, ale się o zapłatę nie upominał, bo sobie myślał: „co mi ta po pieniądzech.“ Młodziak taki jeszcze był, to nie miał do pieniędzy rozumu; ów dziad mu też nie płacił, choć kurę stargował i do torby schował, — tylko mu dał jeszcze drugą kromkę chleba.

Kiedy weszli z sobą w rozmowę, to już Beldonek wszystko wyśpiewał temu dziadkowi: — jako mu matusia zmarła, jako go stryk i stryjna skatowali, jako szedł na tamten świat do matusi, jeno sobie drogę w lesie zmylił i zabłądził.

— Ha, no, kiedy ci tak źle na świecie — powiada dziadek — to się zabierz i pójdz ze mną. Idę oto do Częstochowy na odpust, nie wiem, czy tam za cztery tygodnie zajdę, ale co ci ta — mówi — zażyjesz świata i obaczysz kaj co jest.

VI.

Jak się już Beldonek raz zmówił z onym dziadem, tak poszli w świat — gdzie to tam.

Wyszli z lasu na prostą drogę, a dziad zaraz pyta chłopaka:

— Beldonek się mianujesz, — nie wadzi; ale umiesz też ty jako tako śpiewać?

— Czy ja wiem: śpiewałem sobie czasem na wsi, ale zrzadka jeno; trochę umiem takich śpiewek, co u nas pastuchy śpiewają.

— Zaśpiewajno co godnego, zaraz zobaczę! Chłopak ani się namyślał, bierze i śpiewa:

„Wojtek łusy
Chwyta mysy,
Która tłusta,
To ją schrusta:
Która chuda,
To ją psu da.“

— I takie jeno same zbereżne śpiewki umiesz? Na nic się zdało; bo ci trza nabożnie śpiewać.

— Jakże wy znowu chcecie, żebym śpiewał?

— Możeś kiedy słyszał: — „Strasznego majestatu“, albo „Gwiazdo morza“, czy „Kto się w opiekę?“ Słyszałeś, he?

— Toć mi się cosik ochapia, musi słycałem, jeno nic z tego nie pomnę. Będzie chyba to, co kiej chłopaki chodzą po wsi z gwiazdą, pośpiewują przed chałupami: „W żłobie leży, kto pobieży“, no i — „Anioł pasterzom mówił...“

— Juści, juści — oni śpiewają nabożnie! Za takie widzisz nabożne śpiewanie ludzie kiedemu dadzą chleba, łyżkę warzy, jaje, albo

i pieniędzy. Powinno się tyła tak śpiewać, żeby się aż popłakali.

— Moście wy, tegom nie wiedział.

— Pamiętajże sobie raz na zawsze! A umiesz ty prosić Pana Boga?

— Pewnikiem mówicie o żegnaniu: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“ A jakże, umiem! W piersi się także bije: „Bądź miłościw niegrzesznej duszy mojej.“

— Coniebądź sprofutowałeś. Powiedz na głos pacierz!

Chłopiec zaczyna trzepać, ale nie mógł nijak trafić do końca, ciągiem robił zmyłki.

Więc mu dziad dopiero rozpowiada:

— Przysłuchajże się, jak ja będę do Pana Boga gadał, i zaraz potem za mną to samo precz powtarzaj! Jak ja głośno jakie słowo powiem, ty mów tak samo, a jak ja przycichnę, ty także spuszczaż z głosu. Bo widzisz, nie można tak ladajako przepytlować, kiej człowiek drugich o jałmużnę prosi. Za cóżby dawali?

Nie, dobrze wszystko, szli dalej, het rozmawiają, a tu jakiś dwór stał przy drodze. Dziad znowu napoczyna do chłopca:

— Zajrzyjże mi przez balaski, czy tam na podwórku psy jakie nie leżą?

Beldonek zaraz zajrzał i powiada:

— Żywej duszy nie widać.

— Dopiero stanęli przed oknami tego dworu, obadwaj zdjęli z głowy czapki, a dziad ogromnie grubym głosem zaczął powoli odmawiać pacierz, słowo za słowem; chłopak precz za nim wszystko powtarza, — aż grzmiało, jak kapela jaka. Już przeszli przez: „Chleba naszego powszedniego“, kiedy im ze dwora akurat wynieśli chleba

pajdę i do tego cztery grosze. Tak dziad już nie skończył pacierza, jeno mruczy do chłopaka:

— Niema co kończyć, bo oni nam tu już nic więcej nie dadzą. Pójdźwa — „Jaaamen!“

Zabrali się i poszli.

— Słyszysz mały — powiada dziad — weźże mię teraz za rękę, a ja zamrużę oczy i będę niby to ślepy; w taki sposób, baby się na wsi prędzej wzruszą, a jak się już wzruszą, to i opatrzą.

Dobrze. Przyszli do chałupy jakiegoś gospodarza, stanęli na progu i zaczęli jeden z drugim śpiewać pieśń o św. Mikołaju, coby on patron pamiętał o gadzinie w tem gospodarskiem obejściu. Beldonek ta nie umiał owej pieśni; zwyczajnie, beczał tylko do wtoru, żeby była większa parada. Od razu to gospodynię chwyciło za serce, że niby o bydłętach jest pomyślenie; no, wypadła przed chałupę, popatrzyła trochę i pyta chłopaka:

— Co to? Ślepego dziadunia widzę oprowadzasz? Chudziatko moje!

— A juści, rychtyk co tylko przed chwilką zaniewidzieli, — mówi Beldonek; tak mu się jakoś powiedziało i mógł tego dziada jak nic zdradzić.

Dopiero dziad go ogromnie ścisnął za rękę, żeby się takie udawanie nie wydało. Jeno ta gospodyni nie dosłyszała jacy, co chłopak mówił; bieży do izby i wnet im wnosi sporą partykę chleba a także skrawek skórki ze szperki.

Skoro już byli na drodze, tak się dziad zaczął gniewać, że chłopak nie umie z ludźmi gadać, bo powinien był przed tą babą powiedzieć:

— Moja gospodyni, dziaduś już dawno oślepli...

Był teraz dziadek z Beldonka nieosobliwie kontenty, i zapowiedział mu, żeby drugi raz lepiej gębę stulił, zamiast tak gadać.

Nabrali we wsi chleba, a go już obaj nie mieli kaj wtykać, nazbierali jajek i trochę grosiwa. Już było dobrze pod wieczór, kiej sobie siedli za wsią pod męką Pańską, żeby się odrobine posilić. Podjadali sobie tak, a tu drogą jechało państwo jakieś we cztery konie; z wierzchu ta jeno furmana było widać, bo państwo siedziało w karecie. Widzący to, dziad mówi do chłopca:

— Pokażże przecie swój rozum, poskocz przed te konie, a krzycz z całej siły: — „Litościwe państwo, dobrodzieje, dajcie grosik ślepemu dziadkowi-kalece!“ Drzej się wyraźnie, nie żałuj gęby, żeby cię usłyszeli tamci, co siedzą w karecie.

Beldonek zaraz skoczył przed konie, leci wedle tej karety, a na cały głos wrzeszczy tak, jak mu dziad był przekazał. Zaraz jakoś ta karetka przystanąła i wychyliła się z niej pani śliczności, jak jaka święta z obrazu, zawołała do siebie Beldonka; ale mu dokumentowała coś tak osobliwie, że ani słóweczka nie rozumiał. Potem mu dała piętnaście groszy.

Strasznie się dziad z tego zcieszył, pogłaskał chłopaka po gębie i powiada:

— Na, masz jeszcze kromeczkę chleba! Pamiętaj, żebyś tak zawdy robił, to nam obu będzie dobrze!

Podjedli sobie, niczego; już o zmierzchu zaszli do Pińczowa. Ledwie tu przyszli, zaraz ich zaczęła jedna żydówka i molestuje:

— Ny, dziadku, macie pewnie jajka do sprzedania?

— A jakże mam — powiada dziad, — nie tylko jajka, ale i kurę, co je może wysiedzieć, kupcie; bo to tak, jakbyście kupili kurę z kurczętami!

To powiedział i zaczął gmerać wszędy, wywłóczył jaje po jaju; zgoilił pieniądze, a za tę siematkę pono mu zapłaciła żydówka aż sześć czeskich. Już mu teraz lżej było z pieniędzmi; tak się dopiero odzywa do Beldonka:

— Pójdziemy na Mirów do klasztoru Bernardynów; jest tam mój przyjaciel Skubała, dziad takóž, to on nas przenocuje.

Beldonek pierwszy raz w życiu widział takie miasto, nie mogło mu się w głowie pomieścić, że to wszystko na jawie prawda; aż oniemiał i szedł cicho przy dziadku, nie śmiał pary z siebie puścić.

Nareszcie doszli do klasztoru, a chłopcu było dziwno, co ten dziad sam wszędzie trafił, nawet o drogę nikogo nie pytał, jeno prosto walił, jak w dym. Dopiero koło klasztoru pytają o dziada Skubałę; ledwie się dopytali, bo go tam nikt nie nazywał Skubałą, jeno Szczepanem. Prowadzą ich ludzie do niego; ale on sam nie mieszkał, tylko był jeszcze drugi dziad przy nim.

Osobliwie wyglądało dziadziisko, ten Skubała, chłop taki przysadkowaty, miał jeno nos z tyli, co dobra gruszka, a okrutnie czerwony, jakby się palił. Jak do człowieka zagadał, to ten jego głos jakby dudnił gdzieś w bebechach. Kiej zobaczył onego dziada z Beldonkiem tak się bardzo zradował i woła:

— Florek przyszedł, Florek... Myślałem, że cię już kaj robaki jedzą, a tyś jeszcze jak byk zdrów...

Wtenczas się oba dziady pocałowały w gębę, i Skubała zaraz woła na drugiego dziada, co z nim mieszkał:

— Onufer, rozpal-no ogień, upryczysz jęczmiennej kaszy ze szperką, tylko żebyś nie przetaił!...

To ten Onufer zaraz się wziął do roboty, a Skubała znowu wyciągnął jakąś flaszkę, przychodzi do Beldonka, daje mu ją, wtyka do garści trochę trojaków i powiada:

— Ty, smarkaty, machaj tu naprzeciwko do szynku i przynieś za to gorzałki!...

Chłopak był rad, że go ten Skubała miał za co, poleciał z flaszką i myślał po drodze o wszystkich onych osobliwych rzeczach, i o tem też, że jego dziaduś nazywa się Florek. Porządnie się sprawił, kupił gorzałki, przyniósł. Teraz się kasza dotąpiła w sam raz i tak pachniała — widno od szperki, — że Beldonek oka z niej nie spuszczał.

Tak dziady napili się coś ze trzy razy gorzałki i zagryzali to kaszą; ale chłopakowi dali w jakiejś skorupie tyla samej kaszy i chleba do tego, że niby taki mały nie powinien jeszcze napijać.

Jak sobie już i dziad Florek podjadł, powiada do chłopaka:

— Legnijże i śpij, wypocznij teraz na zdrowie, bo jutro po rannej mszy pójdziewa do Jędrzejowa...

— Chodziłem ci nieraz na Jasną Górę i sam i z kompanią — mówi Skubała, — nie zadna tota Ukraina; z Jędrzejowa, to można na Włoszczowy i Koniecpól... Niechby ten mały przyniósł nam jeszcze gorzałki, i tak się wyśpi!

Chłopak znowu w derdy poleciał z flaszką po gorzałkę, ale kiedy już wracał, coś mu szeptało: „pokosztuj, musi być dobre, kiedy tak ludziom smakuje.“ Skosztował: — słodkie nie słodkie, okrutnie jakieś tegie, a na języku miłuskie i grzeje.

— Nie tyknąłeś ty? — pyta Skubała, a w oczy mu ostro patrzy, aż chłopaka krew oblała. — Ruszaj teraz — powiada — tam do sieni, — leży dosyć słomy, to się w niej zagrzeb i wyśpij!...

Poszedł Beldonek, tylko coś zasnąć nie mógł, bo w tej słomie były okrutnie złe pchliśka, — musi głodne, tak strasznie cięły; chłopak przewracał się jeno w barłogu. Słucha a tam w izbie ci trzej dziadowie na cały głos gwarzą; mamrotali coś jeden przez drugiego. Nie mógł wytrzymać z ciekawości, żeby nie podejrzeć i nie podsłuchać. Wstał, zagląda szparą we drzwiach, a tu jego Florek zakasał sukmany, przytupuje i śpiewa:

„Jakem ci szedł od Warszawy,
Dziewki na mnie precz warczały:
Jaka taka — wyr, wyr, wyr!...
Wyjadły mi z torby ser.“

Dopiero chłopak sobie miarkował w cichości, czy on Florek nabożnie, czy nie nabożnie wyśpiewuje. Ale nic nie wiedział, co to za śpiewka taka, tylko mu się bardzo udawała bez to, że one dziewczki warczały i ser wyżarły z torby.

VII.

Na drugi dzień raniutko była Msza święta; księża i cała starszyzna przy kościele wzięli precz w głąb, szli ku oltarzom, a dziady zosta-

wali zaraz z początku — przed kościołem, albo w kruchcie. Beldonek takiego ślicznego kościoła nigdy jeszcze nie widział; zajrzy, a tam wszystkie anioły i świętki aż się mienia od jasności, złoto i srebro omal z nich nie kapało, a był ogromny huk wszystkich tych świętości. Zaraz sobie pomyślał: „tu się ludzie mają do czego modlić.“

W nabożeństwie parada ogromna, nie tak jak na wsi; na organach grało porządnie, to grubo to cieniuszko i ktoś jeszcze musi śpiewał, wyciągał het przepięknie; co tu gadać nabożeństwo okrutne, śliczności... Księża jacyś inni, nie tacy czarni, jak zwyczajni, jeno odziani w sukmany nikiej chłopskie, ale nie takie, — opasani precz bieluškimi powrózkami, co się tylko węzły od nich dyndały; na nogach miał każdy trzewice i jak szedł przez kościół, to od nich jeno huczało. Mniejsze znowu księżyki usługiwały starszym koło ołtarza przy Mszy świętej, — wszystko do czysta wygolone, precz aż na głowie w środku umyślnie mieli takie łysinki.

Lud tam w mieście bardzo nabożny, co kto zalał do kościoła, zaraz bęc na ziemię, padał na kolana, składa we dwoję ręce, a zęga się, a w piersi bije, podłogę świętą całuje. Udawały się chłopakowi te rzeczy, rad był, że z dziadem Florkiem w szeroki świat poszedł i, jak ręką odjął, odrazu przestał cnić za chałupą.

One dziady porządkiem na ławeczkach usiadły po jednej stronie, a po drugiej zaś proszalne babki, — dopiero się to modliło, tyła słuchać tak było, jakby kto nieprzymierzający pogwizdywał sobie, bez to, że tak szeptali ciągiem pacierze. No, a tego Florka, to Skubała usadził

przed samym kościołem, bo jako obcy przyszedł tam w goście, więc mu dali najlepsze miejsce do żebrowania; jaki taki człowiek miastowy wchodził do kościoła, zaraz bieże i daje: za dusze zmarłych, czy do Opatrzności boskiej — wszystko równo. Florek już był taki majster, co każdziutkiego pocieszył. Jak sobie klęknął, jak rozłożył ręce, a otworzył gębę i rozpuścił język, to precz szło z niego jedno nabożeństwo za drugim. Kiej przyszedł do miasta, do Pińczowa, to tuż jałmużny nie tknął w gołą rękę, jeno wy dostał z zanadru taką malowaną miseczkę i w nią mu ludzie kładli, co łaska. On rozповідаł, co tak lepiej, bo w rękę można dziadowi wrzucić co niebądź, a jak się ciska — wszyscy patrzą; więc te miastowe ludzie lubią się pokazać i w jakie niebądź naczynie zawdy więcej wrzucą, niż do ręki.

Skubała bo sobie ta widać w niczem miał takie rzeczy, mruzczał i mruzczał pod nosem, mówił, że w powszedni dzień się nie oplaci dziadowi molestować, jak widział, że nikt na niego nie patrzy, to się rozwalił na ławce, kieby szlachcic, i ziewał dopiero ogromnie, aż het naokolu sieńko było słuchać, jakby go sen duży morzył. Ponoś ten dziad miał ogromną podufałość do kościoła i do wszystkich ojców duchownych z tamtego klasztoru, więc mu się dobrze dziać musiało.

Skoro się skończyła Msza święta, wychodzili z kościoła ludzie; to ten, to drugi jeszcze teraz prędzej sypnął co dziadowi, bo niby skruszeli od nabożności.

Kiej toto poszło do domu, dopiero powiada Skubała Florkowi:

— Nie będziesz mi ty stąd odchodził o suchej gębie, idąc osobiwie w daleką drogę do

cudownego obrazu... Trza ci się nieco pożywić.

A no, odszedł ten Skubała i pono powiedział tam w klasztorze, komu patrzy, jako Florek z małym chłopakiem wybrali się i idą na Jasną Górę do cudownego miejsca. Zaraz ich tam suto obdarzyli, należycie, dali chleba, tego i owego, osobiwie, że starszy z onego klasztoru miał przyjaciela w Częstochowie i pismo do niego przez Florka chciał posłać. Jak im już ptasiego mleka nie brakowało, tak ich wyprowadził za klasztor ten Skubała i znowu mówi:

— Słuchaj Florek, oberwałś sporo ochłapów w klasztorze, ale ci się napić nie dali; dalej, wstąpmy, mieszka tu naprzeciwko mój znajomy szynkarz, dziady u niego zawdy pijają...

Niebardzo się ta oto certował Florek; wchodzą, a tam już różni piją, tak Florek trąca Skubałę, że niby nie uchodzi pić przy takich, co to przed chwilką opatrzyli dziadka jałmużną. Ale Skubała mu na to:

— Głupis, czy to dziad nie człowiek? Wódkibym się strachał, kiedy ją pić potrafię, jak i drudzy.

Wypili po kieliszku, po drugim. Skubała koniecznie chciał, żeby jeszcze pili; ale Florkowi ciągle było pić nijako przy tych nabożnych ludziach, tak rzecze:

— Nie chcę już, nie mogę, bo się ochlam!... Pan Bóg się rozniewa i pijanego dziada ludzie potem nie opatrzą, jeszcze się każdy z niego będzie natrząsał.

Tu sobie Florek przez ono powiedzenie zrobił uważanie u tych ludzi, co prosto z nabożeństwa poszli do karczmy.

Nie pili więcej, jeno się pożegnali, a Beldonek na odchodnym pocałował w rękę tego Skubałę, żeby go uczcić.

Idą przez miasto, a chłopak się teraz przy dniu nadziei nie może, takie wszystko piękne; patrzy — na górce nad miastem znowu stoi kościółek, a w samym mieście jeszcze jeden wielki kościół z okrutną dzwonnica. Aż się zdumiał, bo nie myślał, żeby gdzie trzy kościoły razem stały tak niedaleczko od siebie. Domiska też widział ogromne, het miały we dwa rzędy okna — gdzie to tam chłopska chałupina. Najbardziej mu się w głowie pomieścić nie mogła cudaczna studnia na środku miasta, co woda z niej sikała wysoko w górę, i potem znowu, jak deszcz, leciała ku dołowi. Nie śmiał się ani odezwać do dziada, ile że ten ciągle pacierze wymrukiwał, póki szedł przez miasto — umyślnie, że niby bardzo pobożny.

Oglądał się Beldonek na wszystkie strony i zaraz sobie myślał:

— Jakie też to szczęśliwe narody żyją na świecie; tać tym ludziom w raju lepiejby nie było!

Jużby teraz nigdy nie zobaczył, że to miasto z trzema kościołami nazywa się Pińczów, tak go wszystko jakoś tu otumanilo.

Zeszli na dół miasta — wszędzie kamieniami droga wyłożona, twardo, aż miło. Zaraz za miastem okrutna woda — Beldonek myślał, że to morze takie, a to rzeka i na niej mosty jeden za drugim, ogromna wysoczyzna, aż strach bierze z góry na dół spojrzeć. Różni jechali tamtędy, co jeno dudniło, jakby grzmiało.

Jak już przeszli nad tą wodą, tak Florek schował różaniec do torby i powiada:

Pójdźwiewa teraz przez wieś jedną, przez Pawłowice; będą tam strasznie złe psiska, nie znajdzie chyba drugich takich w Koronie polskiej; dziadowi ani się pokazać nie dadzą sobaki... Musi ciarach tamtejszy we dworze skąpy, nie chce biednego wesprzeć, to sobie umyślnie chowa psy takie — hamany. Ale nie bój się, mam ja tu i na nie lekarstwo.

Zaraz wyjął z torby okucie, taką szeroką obrączkę, co na niej pełno było ostrych gwoździ i przymocował to sobie tęgo na kosturze, a do chłopaka mówi:

— Leć-no przodkiem, nie zostaj mi z boku ani z tyłu, bo jakby cię który pies dopadł, toby z ciebie mógł kalekę zrobić, a u nich nie kupię tego.

Poszli śmiało. Stoi na górcie bielutki dwór i zaraz wedle niego bieży gościniec, zwyczajna polska droga.

Ani się spostrzegli, jak wypadło ogromne psisko, widno ich zwałowało z daleka; było jakieś żółte i całe w kudłach, rzucało się po drodze nikiej wiązka słomy. Beldonek aż struchlał, bo to niby pies, a może co gorszego; tak chłopak zaraz myk przed dziada, ale ten go kolanem do brze pchnął i ze złością woła:

— Bodajesz ty spuchł! Czego się psianego pchasz na mnie? Chcesz, żeby nas obu te bestye rozerwały na sztuki?... Dymaj naprzód, nie włącz mi pod nogi!... One ta takiego śpika nie będą tykały.

Miał słuszość Florek, bo psy zleciały się wszystkie do jego kija, co go z tyłu wyciągnął za sobą, jakby ogon i ciągle nim merdał a merdał. Co który pies dopadnie — łap zęb-

cami za tego jeża, bo się dziadowskim jeżem nazywa taka pałka. Ale psom nie szło w smak to chwytywanie; zaraz potem jeden narobił straszego skowytu, tak się ciężko okaleczył, — drugi oblizywał się tylko, widać mu było nie na rękę, że gryzł jeża; musiały im one gwoździe ciężko zaszkodzić w gębach, bo jedne bliżej, drugie dalej precz poprzystawały na drodze.

I tak się skończyło z psami w Pawłowicach, Florek poszedł dalej cały, ani go najmniejsza ślina nie doszła od tej psiej złości.

VIII.

Tego dnia już się nie dowlekli do Jędrzejowa, nie bez to, żeby nie mogli, jeno Florek chciał przenocować w karczmie niedaleko od miasta.

— Po co ta koniecznie gonić za miastem? — mówił do chłopca, — czy mnie to pieniądze korczą? Tać tu nocleg zawdy taniej wyniesie, a jak będą ludzie, to może być jeszcze zarobek.

Takuteńko było. Do karczmy się też naszło ludzi, bo to było przed świętem. Prosto z pola przyszedł tam żniwiarze; kto miał, wypił, a drugi nie przyszedł dla picia, jeno sobie pogwarzył z ludźmi bez niczego, o czejzej duszy. Łazy też i dziewuchy pośpiewujący; wiadome rzeczy, że kaj bab dużo, to tyła pełno gadania, bo każda chce swoje trzy grosze wcibić; no i wyszczerzają zęby bez nijakiej potrzeby. Cóż na to człowiek pomoże, kiej takim sam Pan Jezus rady nie da?

— Napił się Florek półkwaterek, zagryzł skórka od chleba, ale nie siedział dłużej w karczmie; idzie na dwór, spocznie pod ścianą i woła

do siebie Beldonka; sam jadł i chłopakowi dał także przekąsić. Skoro już ten mały zjadł, co dostał, tak dziad mówi do niego:

— Słuchaj-no ty, co ja ci powiem: taki rak, kiej podje, to nie dość, żeby sobie gębę obtarł, jeno ma jeszcze dobre słowo rzec temu, kto go żywi... Ja ci teraz tak jestem, jak ojciec, a widzę, coś tego jeszcze nie zmiarkował, to wiedz!...

Na to Beldonek zaraz dziada za rękę chwycił i z całego serca pocałował.

No, dobrze. Jedna, druga, trzecia dziewczka precz wychodzą z karczmy; nie dziwota żadna, że kiej zobaczyły dziadka z bieluską brodą, przystają a wypytują: skąd, dokąd, jak, co?

Florek je ta zbywał, co niebądź jeno odpowiadał. A im strasznie dziwno było, że ci dwaj idą aż do Częstochowy; tak się to jakoś obniosło po karczmie, wyległo stamtąd pełno ludzi, aż się czerniło koło karczmyska i każdy chciał zaś wiedzieć, zo za jeden dziad taki. Dopiero im Florek rozpowiedział, jako on jest niekoniecznie taki zwyczajny dziad proszalny, jeno chodzi jacy po samych cudownych miejscach. Jeszcze większe było z tego dziwowisko, bo ci ludzie nigdy nie widzieli człowieka, co był niby pielgrzym. Każdy chciał z nim pogadać dla honoru; ale Florek udawał, że nie jest rozmowny. Z babami dopiero nie mógł sobie poradzić, jak się go uczepiły. Jedna powiada:

— Znacie pewnikiem różne piękne nabożne pieśni?

— Jeszczeby nie!

— Maryśka — woła druga dziewczucha, — proszę ich, niech nam co zaśpiewają...

— Tak owa Maryśka w prośby, molestuje

dziada, napiera, żeby koniecznie co odśpiewał; on nic, siedział pod ścianą, jak mruk.

Wtenczas te dziewczki znowu terkotają między sobą:

— Ej, ej, dziaduś widać żadnych pieśni nie znają i bez to nie chce śpiewać!...

Tknęło to Florka i zaraz pyta:

— A o jakiej wy pieśni gadacie?

Dopiero ta Maryśka podchodzi i powiada mu:

— Jest jedna pieśń najpiękniejsza o świętym Łazarzu, jeno mało kto ją na świecie umie...

— No, a co będzie jak zaśpiewam?... — rzeknie Florek. — Cóż wy sobie myślicie, że ja na stare lata będę głos sobie targał darmośnie?

Tak one między sobą — szep, szep, — jedna z drugą rada w radę, bo im się duchem onej pieśni zachciało, bez to, że taka rarytna.

Nadchodzą parobki, a te dziewczuchy im wszystko opowiadają od początku do końca.

— Ha, cóż! dobrze robi dziaduś — mówi jeden parobczak, — kiej wam się zachciało śpiewania, złóżta się, to on zaraz przemówi.

Dziewuchy się chichocą, ale poczęły się składać: ta stąd, tamta z owąd, powywłoczyły precz groszaki, zebrały tego coś dwa czeskie razem Owa Maryśka kładzie Florkowi na kolano te pieniądze i mówi:

— Co mawa, to dajewa — zaśpiewajcież!

A no, wziął w rękę, po omacku waży, siła tego być może, a kręci głową; ale schował. Potem sobie odchrząknął parę razy, a tu się wszyscy zaraz uciszyli, jak makiem zasiał. Teraz dopiero Florek na cały głos krzyczy:

— „Pieśń o świętym Łazarzu, co się rodzony brat nad nim nie zlitował, a anieli Pańscy

wzięli go do nieba; tamten zaś zły brat dotąd jeszcze w piekle gore...“

Powiedział rychtyk, jak ksiądz z ambony, tyła może jeszcze bardziej różnych wzruszył. I w te pędy zaczyna śpiewać, wyciąga tak czysto, co się każdemu chciało słuchać:

„Co się stało przed laty — Jeden człowiek bogaty,
Z złota, srebra miał szaty.

Jadł, pił, tylko tańcował, — Dzień i noc bankietował,
Pychę w sercu swem chował.

Siedział jak pan, w pokoju, — Miał dość potraw, napoju,
Nie pomniał, że brat w gnoju“, itd.

Śpiewał tak, a wszyscy ogromnie słuchali. Tak sobie zaraz myślał Beldonek, że jego Florek jest człowiek bardzo mądry, skoro wszystko tak wie z pamięci.

Ale cóż? Florek prześpiewał:

„Mam aksamit, purpury, — Lisy, sobole, wilczury, —
Na tobie łachy, dziury...“

No, i urwał, przestał śpiewać, choć jeszcze całej pieśni nie wyśpiewał, i ani myśli dalej. A tu ciekawość ogromna, osobliwie też baby wolały na wszystkie strony:

— Co dalej? co dalej?... Śpiewajcie nam, dziadusi, co się stało ze świętym Łazarzem?...

On nic, jak się zaciął, tak ani rusz, śpiewać im nie chce. I byliby tej pieśni nie dośpiewał do końca, bo go te dziewuchy nijak już uprosić nie mogły. Ale parobcy się też okrutnie rozciekawili, tak jeden skoczył po rozum do głowy i powiada:

— Dalej, chłopaki, złóżwa się jeszcze na dwa czeskie; taka pieśń warta, niech dośpiewa!...

Dali mu znowu. Śpiewał już do samego końca, a oni się strasznie bali, żeby jeszcze gdzie nie urwał. Co prawda, to się znowu raz zatrzymał, jak prześpiewał, w najciekawszym miejscu:

„Już tłustość z ciała spadła, — Ujmują mu czarci sadła, —
Twarz nie żąda zwierciadła...“

Jeno on urwał tak sobie z psoty, zrobił im figla, żeby widzieć, czy im też będzie bardzo markotnie bez końca pieśni. Choć skończył, wszyscy pytali, czy to naprawdę już koniec? bo im żal było, że więcej nie usłyszą.

IX.

Nazajutrz, kiedy dobrze zedniało, wstał Florek, żegna się Krzyżem świętym, odmawia pacierze, a na chłopaka woła:

— Podziękuj Panu Jezusowi, żeś dobrze noc przespał i szczęśliwie dnia doczekał!...

Chłopiec zrobił to, jak umiał.

Idzie dziad do karczmarki i pyta:

— Siłaż pani gospodyni chce za to nocować biednego w izbie?

— Od takiego — ona powiada — jeszcze-bym zdzierać? a toby mi na tamtym świecie spokoju nie dali!...

Nie wzięła nic za nocleg, a do tego ich opatrzyła.

Więc poszli ku Jędrzejowu, co takóž jest miasto, choć nie takie, jak Pińczów, daleko mu do tego.

Myślał Beldonek, że się tam dziad wcale nie zatrzyma, ile że było blisko od karczmy, gdzie nocowali. Ale Florek zaraz na rynku pyta jakiegoś:

— Nie wiadomo panu, kaj tu poczta?...
Ten się patrzy, na co im poczta? i odrzeknie:
— Tam, tam w ulicy, od samego brzegu.

Idą szukać tej poczty; zaraz poznali gdzie: jedno z tego, co malowany orzeł wisiał jak nad gminą, a drugie — z trąbki. Wchodzą do kancelaryi, a tam, choć przy święcie, siedzą pismaki i gważdżą piórami po papierze.

Florek odrazu boskiem słowem przemówił; ci zaś do siebie:

— Skaranie Boże, bania z dziadami od rana się rozbija!... Niech Pan Bóg opatrzy, idźcie dalej! Chłopak myślał, że dziad pójdzie; ale ten się niziutko skłonił i rzecze:

— Moi wielmożni panowie, napiszcie mi dwa słowa, to za jałmużnę stanie, a Bóg wam w niebie nagrodzi!...

Ci się widać zadziwili, bo odwrócili głowy od stolików, kaj pisali, i spozierają, czego ten dziad chcieć może.

— Jakież to dwa słowa? — pyta jeden.

— Jacy niech mi państwo napisze na karteczce: — „powiat Stopnicki, wieś Januszowice..."

— A wam to po kiego dyabła? — powiada drugi.

— Starowina widzicie jestem, pniaczek jeno z chłopu został; jakby mi się gdzie w drodze zmarło, niechże znak przy mnie będzie, skąd pochodzę... Włożę to sobie do torby, żeby po śmierci ludziom jasno było.

Tak oni urzędnicy spojrzeli po sobie i jeden na drugiego jakoś mrugnął:

— Napisz mu! — powiada któryś.

Jeden z nich wziął skrawek papieru i na poczekaniu napisał, a jeszcze pyta:

— To może napisać i nazwisko wasze?

— Ha, jeśli łaska — mówi Florek, — bo ta już nie śmiałem prosić o tyle fatygi; zowie się — Floryan Myszka...

I pismak mu wypisał, jako się tak nazywa.

Potem odeszli z poczty, a dziad sobie schował ten papier do zanadru, gdzie nosił szkaplerz i poświęcony mentalik. Beldonek całkiem nierozumiał, na co się przyda taki papier z pismem; jeno sam Florek musiał to doskonale wiedzieć.

Od Jędrzejowa szli prosto do Nagłowic, a po drodze dziad się rozgadał, bo chciał chłopaka czego więcej nauczyć.

— Nie wstyd ci — mówi, — nie umieć „dziesięciorga przykazań?...“ Cóż to niechrzczona dusza, żyjąca bez żadnego chrześcijańskiego zwyczaju?...

Chłopak, jeno słuchał, bo nie wiedział o co chodzi; dopiero go Florek zaczął uczyć jednego przykazania po drugim. Najgorzej szło od początku, jako te pierwsze przykazania najtrudniej spamiętać; aż się chłopczyzna zbeczał, bo go dziad kóli lepszego pamiętania setnie zgadał i odrobinę poturbował. Nim przyszli do Nagłowic, Beldonek już po drodze nieźle repetował. Kontent był, że się nauczył, bo sobie ciągiem tam powtarzał, póki nie umiał bez żadnego zastanowienia.

W Nagłowicach zaczęli żebrować, weszli do pierwszej zagrody, stanęli na podwórku, tak Florek powiada:

— Wypowiedźże, co umiesz: — naprzód pacierz, a potem przykazania po kolei.

Beldonek odrazu trzepie, już był lepiej wprawy, a co mu się urwie, dziad zaraz podszeptuje.

— Niczego — mówi Florek, — głos u ciebie obleci, jużes pochwylił uchem jako tako, gdzie przystoi wyciągać.

Obeszli tak chałupę za chałupą; dziad tylko pomrukiwał wszędzie, a chłopak sam precz wszystko na cały głos odmawiał, nikiej organista na śpiewaniu stacyi. Przy ostatniej chałupie prawie się nie zająknął, mógł się już doskonale wyklapać.

Skoro znowu przed wieczorem wyszli na drogę i mieli się ku Jaronowicom, tak dziad zdejmuję z siebie jedną torbę, a miał ich będzie ze cztery, i mówi:

— Kiej już sam potrafisz do ludzi przemówić, toś wart nosić torbę dziadowską, bierz ją na plecy.

Uradował się chłopiec, że niby będzie do Florka cobądź podobny i z wielkim ambitem torbę na sobie powieścił.

— Nie jednej rzeczy jeszcze się przy mnie nauczysz — powiada znowu dziad, — ale nie tak odrazu, boby ci się w głowie zamieszało...

Przychodzą do Jaronowic, słonko jeszcze nie zaszło. Wałą przed dwór prosto, a tam po trawniku chodzą sobie duże i małe panny. Florek odrazu czapkę z głowy precz, podchodzi pokorniuski, położył obie ręce na kosturze, przygarbił się, potem klęka i zaczyna modlitwę; chłopakowi też dał znak, żeby i on równie przyklęknął.

Panny podchodzą, bardzo im się udał taki dziadek, i każda mu dała, co mogła. Musi go porządnie opatrzyły, bo jak tylko wyszli, był bardzo rozmowny i śmiał się, a to u niego bywało rzadkością.

— Widzisz — powiada, — inaczej się go dzi przemawiać do każdego; są na to osobne modlitwy i pieśni; jak będzie czas, to się nauczysz wszystkiego. Takie smarkate, jak tamte,

to chcą, żeby dziad prosił dla nich Pana Boga o chłopca... Usłyszą i już nie żałują grosza.

X.

Wyszli i idą po chłodzie

— Musiewa na noc dociągnąć do Kosowa, — powiada Florek.

Kiedy weszli do lasa, dziad zaczyna śpiewać na cały głos, jeno się rozlegało. Chłopak w tym czasie sobie myślał, co też takiego mogło być w tej torbie, którą mu Florek włożył na plecy; juści nie było w niej chleba, ani nic do jedzenia, jeno jakieś twarde rzeczy, ciężary czy coś, bo chrobotało, jak kamienie. Minęli las, patrzą — nowiska przed nimi: gdzieniegdzie obisiane toto grochem, a drugie kartoflami, precz nieosobliwy urodzaj na zagonie.

Dopiero Florek się zatrzymuje, przystanął, popatrzy na okolicę i mówi do chłopaka:

— Zdejmijno ze siebie torbę, co ją masz na sobie i poszukaj w niej motyki, będzie tam taka...

Chłopiec zdjął, rozłożył na ziemi, szuka, a tu w torbie przeróżne rupieci; patrzy — żelazny warzniczek, takóž ryneczka na trzech nogach, to znowu łyżka blaszana, podkowa stara, lonik od wozu, wędzidło, kółka jakieś. Już teraz Beldonek sobie pomiarkował, bez co ta torba była taka ciężka, że powrózek od niej aż mu ramię odparzył. A no, znalazł tu i motykę, tyła była bez żadnego motyczyska — samo to, co żelazne. Florek bierze to do ręki i zakłada na onym kosturze, co był nań i jeża od psów wsadzał. Jak porządnie motykę opawił, tak znowu rzecze:

— Słuchajno, ja tu siądę pod lasem, będę nabożnie śpiewał pieśń jedną taką do cudownego obrazu w Tursku, a ty mi poleć w tamte kartofle i ukop dobrze, tyle, żebyśmy oba na wieczrę mieli. Przychyl się cały, jak będziesz kopał, — małyś, to cię zdaleka nie dojrzą... Ale daj baczenie na to, co ja będę śpiewał, i jak posłyszysz: — „Panno w Turskim obrazie, ty nas ratuj na razie“, zaraz przywaruj w bruzdzie; bo to będzie znaczyło, że kto idzie i spatrzeć cię może...

Beldonek drze zaraz w pole, poleciał w te kartofle, zabrał się, rozkopuje krzak koło krzaka; co wykopie — wszystko małe, jak orzeszki, a dziad mu był zapowiedział, żeby nie brał takiego drobiazgu, bo to do jedzenia wodniste; tak on też przebierał co większe i bez to szkody dużo narobił. Ale sobie jakoś zobaczył o tem śpiewaniu dziada, niby kóli ostrożności. Tak Florek drze się pod lasem: — „Panno w Turskim obrazie, ty nas ratuj na razie“, a chłopak nic, nie schował się w bruzdę, jeno kopie zwa-wo, zawział się przy tej robocie.

Niedobrze było. Ode wsi idzie chłop, nie zważał ta widać na dziadowskie śpiewanie pod lasem, tyła dopatrzył w ziemniakach onego małego psuja; włożył między zagony i zeszedł chłopaka na tem kopaniu. Aż się za głowę złapał, widzący tyle krzaków w poniewierce.

— Masz ty Boga w sercu? — woła, — sobacze nasienie jedno, żeby ludziom taką krzywdę robić... Czyjżeś ty?...

Chłopak się przelał strasznie, ledwie co mógł rękę wyciągnąć i pokazać dziada pod lasem.

Dopiero chłop bierze małego za łeb, trzyma go krótko zo włosy przy samotkiej skórze i prowadzi do dziada. Jak tylko doszli Florek powiada:

— Oj, żebyście mu też dobrze zepsuli skórę, bo strasznie rozpustna beskurcyła!... Cóż on ta zmalował w polu?

— No, bestyjnik jeden! — rzeknie chłop, — tać ja rychtyk myślałem, żeście wy mu kazali ukopać kartofli, a on widzę sam z dobra woli... Oj, żeby tak moje było to półko, pokazałbym ja takiemu bisurmanowi, skąd mu nogi wyrosły!...

— Da to takiemu radę — mówi Florek, — kazałem mu nosić torbę z motyką; ani mi ta do głowy nie przyszło, żeby on psawiara szkody ludziom narobił!... Nie bić dopiero gałgana... toć on mnie odbieżał, ile że przy zmierzchu na oczy nic nie dowidzę o parę kroków. Staremu zawdy bieda, a ten niecnota wziął i poszedł krzywdzić ludzi!

— Ha no, przetrzepcie go ta sobie już sami, żeby na drugi raz był pamiętny. Wasz on rodzony?

— Kaj ma być mój zaś? Przybłąkało się a to do mnie w boru i lezie; nie mam litości odpędzić, choć nie dobrego, bo powiada, że sierota.

— Widzicie wy... Żebym tak chciał rękę psuć, tobym ja jemu pokazał sprawiedliwość, jeno co się ta będę turbował o młynarzowe kartofle!... Skądżeście wy dziadku? Musi zdaleka?...

Zaczęli odrazu o czem innem rozmowę. Tak Florek wywiódł tamtego w pole. Beldonkowi aż świeczki w oczach stanęły bez to, że go ten chłop precz za łeb trzymał, choć z dziadem już

o czem innym była mowa. Puścił go nareszcie, bo sobie sam usiadł nieco pod lasem. Dziad i chłop zagadali się jakoś ze sobą. Jak już trza iść było, tak chłop znowu powiada:

— Idźcież ta, dziadku do wsi, pytajcie kaj jest chałupa Maćka Hebdy, przenocuje was moja w stodole, czy przy bydle, ja się tu jeszcze muszę w lesie sprawić, ale około północks wróce.

Wstał z ziemi, widać było, że ma pod sukmaną siekierkę, a z kieszeni mu wyglądał postronek zwinięty, musi po drzewo szedł do lasu.

— Bóg wam zapłać — powiada Florek, — ostajcie tu z Panem Jezusem, kiejście tacy dobrzy.

Chłop zaraz w bór, a oni w drogę. Dopiero dziad nakładł Beldonkowi w uszy, żeby drugi raz nie był już taki głupi, jak ma kopać cudze ziemniaki.

Dopytali się jak nic o Hebdową chałupę. Przychodzą, a ta Hebdzina zrobiła na noc już cały porządek w domu, jeno jeszcze miała pacierz z dziećkami zmówić. Dziad do niej od razu z kopyta:

— Moja gosposiu, wasz mnie Maciek przysłali do was: — idźcie do Kosowa — mówi, — to was ta moja posili i przytulek da nocny, bo użyczliwa kobieta i nie pożałuje nic biednemu.

— A kajście wy jego natknęli. Pod lasem pewnie?

— Juści pod lasem, koło młynarzowych ziemniaków. Dobra dusza, pogwarzył ze mną i poszedł. Nie każdemu człowiekowi dał Pan Jezus tyle uczciwości, co waszemu...

— Chwała Bogu — powiada baba. — Maciek człowiek do rany przyłożyć, gorączka to

gorączka z niego, w pierwszej złości gotów ubić, dobrze mnie nieraz trzaśnie; ale coby ta chłop wart był bez tego!

— Musi wasz gospodarz ku lasowi tak pod noc ciągnąć kóli jakowej korzyści? — pyta dziad.

Jeno baba teraz zamilczała, nic już nie mówi; dopiero się znowu po chwilkę odzywa, bo ją widać język zaświerzbiał, zwyczajnie jak kobieta.

— Czy wam mój to nie rozpowiedział — mówi, — jako wczoraj żydy kupiły las od dwóra, tak się też każdy przy tej okazji chce pożywić... Obrady ta z tego wielkiej nie będzie, jeno nim dozór jaki ustanowią, to jeden, drugi ciupnie siekierką na te ciężkie czasy.

Potem podchodzi ona baba do Florka i wręcz mu gada:

— Jaki to głupi ten Maciek, mój dziadusi! jakby nie wiedział, że wam nie mam co dać na wieczere!... Uwarzyłam trochę żuru i kartofli, to się zjadło, a resztę wychlipało do ena prosiatko; trza je podpaść, bo pojutrze zagoni się na jarmark do Włoszczowy.

— Ja ta nie koniecznie za żurem — powiada Florek, — niby to człowiek może przebierać w drodze, idący osobliwie do cudownego obrazu na Jasną Górę... Jakbyście mieli w garczku krzynę zsiadłego mleka, nie będzie nijakiej wzgardy... A nie, to dajcie parę jajek, choćby ta i kaczki były; sam sobie jak niebądź upitraszę w ryneccze.

Tak się baba namyśla, co mu tu dać? — musi żal jej było wyzbywać się tak jednego, jak drugiego. Ale ją dziad w te pędy podchwycił.

— Nie żałujcie — mówi, — bo jak już raz zajdę na cudowne miejsce, zaraz tam westchnę

uczciwie na waszą intencję, to wam się przecie koniecznie dobrze opłaci.

Ona sobie zaraz zmiarkowała, że Florek sprawiedliwie mówi; ale mu już wolała dać zsiadłego mleka, bo się skarżyła, że jej kury w tym roku coś jaj nieść nie chcą.

Pożywili się należycie, podjedli oba. Dopiero dziad ociera głowę i woła na Beldonka:

— Uchycze panią gospodynią za nogi!

A sam co prędzej piękną modlitwę za dobrodziejów odmówił głośno:

— Pobłogosław, Panie Jezu Chryste, tym ludziom na zdrowiu, na szczęściu, na wszystkim, nagroź im we sto razy za to, co mię tu nakarmili godnego sługę Twego!“

Tak chłopak swoim porządkiem a dziad swoim zrobili, co należało.

Więc ta Hebdzina miała już teraz okrutną wdzięczność dla Florcka, i nie chciała mu pozwolić, żeby spał w stodole czy w obórce, tyła mu zrała posłanie w chałupie pod żarnami, w kącie jednym i jeszcze mu wyniosła z komory kozuch swego Maćka do przykrycia. Ale ta ciepło było i dziad nie chciał, tyła się domawiał:

— Kiej już, moja gosposiu, taka wasza łaska, to mi jacy jutro ochwiarujecie na drogę z pół serka, bo widzę u was krowy pięknie doją, to będą jeszcze lepiej... To wasze mleko okrutnie było smakowite i pewnikiem ser będzie jeszcze lepszy.

A no, tak ta baba już nic nie odpowiedziała, bo może nie chciała, żeby znowu tyle łaski robić dziadowi.

Dobrze potem, jak już przepiały pierwsze kury, przychodzi do chałupy Hebda, wszedł i zaraz pyta:

— Był tu dziadek jaki?

— Cichożje — mówi baba — dyć śpi tam pod żarnami... Nasłałeś mi na noc człowieka i wychlapał a to garnek cały zsiadłego mleka!

Hebda nic, jeno strasznie wyrzekął, że żydy w lesie ogromnie czujne; układł się i spał na werku.

XI.

Rano pożegnał Florek tak Maćka, jak i Maćkową, a nad chałupą krzyż im jeszcze ręką zrobił; puścili się oba z Beldonkiem ku Włoszczowie. Przychodzą do Dąbia ludzie tu jeszcze lepsi, nic nie żałują jałmużny tylko sypią. W karczmie dali im będzie z pół miarki kartofli i sadła grubo na palec.

— Okrutny obiad dziś będzie, — mówi dziad.

Siedli pod karczmą przy studni i chłopak obiera kozikiem te kartofle; tak sobie wtenczas przypomniał wieś swoją, bo tam nieraz kartofle takóž strugał. Podleciało go musi z żałości co dziwnego i zaczął beczeć.

— Czegoż ty, głupi, dudy stroisz? — mówi Florek.

Jeszcze się chłopakowi żałośniej zrobiło z tego pytania, jak rznie o ziemię kozikiem, porwał się, poleciał za karczmę i płacze, jak organek. Wypłakał się tam setnie, może go i wstyd potem było, bo wrócił, uchwycił dziada za kolano, pocałował w rękę i mówi:

— Nie złościście się na mnie, wieś mi moja zapachniała, com się nijak wstrzymać od płaczu nie mógł...

— Gniewałbym się ta na takie ciele!...

Obieraj a to kartofle i koniec; podjesz na obiad, to ci zelży, wiadome rzeczy.

Ostrugali ziemniaki do bieluszka, czysto, przepłukali je jeszcze przy studni, potem dziad zalał toto wodą i poniósł do karczmy, żeby mu pozwolili uwarzyć przy ogniu; wziął garść kaszy z torby, podsypał, dodał soli, pieprzu i polecił na wies. Jak wrócił, przyniósł parę główek cebulki; wyłgał od jakiejś gospodyni; pokrajał tę cebulkę na plasterki i dopiero zaczął smażyć w ryneczce z sadłem; zapachniało od tego ogromnie nie tylko w karczmie, ale naokolusienko. Kiej się już uwarzyło, jedli z ogromnym smakiem, aż pies i dwa koty za węchem do nich przyszły.

Dziad ocieżał jakoś po tym obiedzie — nie był ani do rozmowy, ani do drogi; jak jeszcze popił, tak mówi do Beldonka:

— Musi przepieprzyćem, czy przesoliłem te kartofle, bom teraz do niczego — piłbym tylko i sen mię przytem morzy... Wiesz ty, chłopysiu — powiada tak delikatnie, że to chłopaka za serce wzięło, — ja się tu zdrzemię; stary-m, ale tyś lekki, skocz do lasu i nazbieraj grzybów, bacz jeno, żebyś muchara nie chycił.

Więc chłopak zaraz poszedł, bo las był pod bokiem przy samej karczmie, a dziad się wgramolił na górę po drabinie i legł tam na spanie.

Kiedy Beldonek powrócił z lasu z grzybami, Florek już się obudził ze snu, był wyspany, aż mu oczy podpuchły. Dziad siedział w karczmie, gwarzył z karczmarką, narzekał, że go coś rozebrało, zemdliło w nogach i na całym ciełe.

— Dzisiaj nie pójdę dalej — mówi, — tu się gdziebądź przenocuję.

Tak chłopak wiedział zaraz, że dziad ma

wielką ochotę na te grzyby i wziął się do ich przebierania a krajania; siedzi na ziemi i robi swoje. A tu do karczmy zaczynają się schodzić różni, zwyczajnie jak po południu — to przejezdni, to miejscowi; niejeden tylko zajrzał, wziął z komina węgielek do fajki i poszedł dalej.

Ale ta przyszedł jeden taki niby chłop, niby surdutowy, bo miał na głowie kaszkiet i kurtę jakąś z guzami na sobie; pono on rzadko kiedy z karczmy wychodził; musi był z niego wielki paliwoda, bo ludzi ciągiem na gorzałkę naciągał i bez to go tamtejsi szynkarze oboje bardzo lubili. Zwał się Michał Zaraza; co kogo w karczmie natknął, zaraz napastował, gwarzył, a potem niechcący w różnych wmawiał, jako mu kazali wódkę stawiać. Był wykląpany, to mu się ta nikt nie sprzeciwił, bo niejeden wolał za takiego zapłacić, niż się przekomarzać. Dopiero sobie on Zaraza upatrzył Florka i zaraz myśli:

— Ten mi dziś będzie fundował...

Ale cóż, jak poszli w rozmowę, odrazu było widać, że dziada nie weźmie na muchę; taki był mądry na wszystkie przeszpiegi ten Florek.

— Zdalekaście wy? — napoczyna Zaraza.

— Z całego świata — mówi dziad.

— Ooo, bójcie się Boga, to i ciełe na świat przychodzi w jakowemś miejscu... A wyście się nikaj nie urodzili, czy co? — Tak powiedział, myślał niby, że odrazu dziada nabierze z góry i stropi. Na to się ludzie zaraz śmiać poczęli, bo każdy był pewien, że dziad jest głupszy.

— Drugi człowiek to nie ma i tyła rozumu, co ciełe... — odrzeknie Florek.

Zaraza wziął to do siebie, że mu dziad ostro przycina i przez chwilkę myśli, co takiemu od-

powiedzieć, żeby było cięto. Ale mu Florek nie dał czasu do namysłu, jeno go odrazu naparł:

— Wiecie wy człeku, gdzie jest wola Boża?

Tak tamten nie wiedział, co na to odpowiedzieć, jeno udawał niby zucha i przez śmiech rzeknie:

— Pewnikiem na pruskiej granicy!...

Ale jedni się z tego w karczmie śmieli, a drudzy nie.

Dopiero Florek w te pędy na niego.

— Tabaka a to w głowie, nie rozum u takiego człowieka, co prostej rzeczy nie wie...

Nasłuchują wszyscy, co też Florek dalej powie, bo sobie nikt nie mógł zmiarkować, kaj jest Boża wola, bez to, że niektórzy myśleli, czy to nie wieś jaka, więc mogła być na pruskiej granicy takż.

— Widzicie — powiada dziad — Boża wola jest wszędzie, gdzie się cuda dzieją jakie, a wy nie zaczepiajcie, kiedyście głupi...

Zaczęli się wszyscy okrutnie śmiać, a dziewczka karczmarśka od tego śmiechu omal z ławy nie spadła. Zaraza już ze wstydu nic nie mówił. Ale Florek się wcale nie śmiał, tylko znowu mówi, jak się już ustatkowali ze śmiechu:

— Bywały człowiek to i na pruskiej granicy zna cuda Boże; kupcie mi Michale wódki, to wam powiem.

Zaraza nic, rozsierdził się i zawziął, nie chciał gadać, tyła mruknął:

— Kręt ja to jaki, czy co?

— Dam wam wódki — mówi karczmarśka, a powiedzcie dziadku o tym cudzie, bom nie słyszała nigdy.

Ha, dobrze. Florek wypił wódkę, aż ten

Zaraza o mało się nie spalił ze złości, widząc, jako dziad umie naciągać, a on nie.

Teraz Florek siada i zaczyna gadać:

Na pruskiej granicy była raz okrutna wojna, zwałił tu jeden Napolion ze swoimi; dopiero stanęli oba z Prusem tam za Częstochową, kaj są Panki na jednym miejscu, i Napolion powiada:

— Potąd twoje. — A tamten Prus rzecze: — nie ustąpię, moje het pod Wisłę do Nowego Miasta Korczyna, do Opatowca! I zaczęli się tak certować, co czyje będzie. Tak Prus precz folgował od Wisły, ustępował temu Napolionowi i Chmielnika, i Pińczowa, Jędrzejowa i innych rzeczy, jeno koniecznie chciał mieć Częstochowę kóli tego cudownego obrazu. On Napolion był uczciwy chrześcianin, jako każdy z naszych, a Prus — poganin, wiadome rzeczy. Dopiero Napolion gada: żebyś ty tu na głowie stanął, sobako, to ja ci Częstochowy nie oddam, bo by się ludzie nie mieli kaj modlić. — No, dalej — woła Prus, — kiedyś taki to się spróbuja, kto mocniejszy, ten lepszy. Zaraz przyszło do okrutnej bijatyki. Ustawili rzędem żołnierzy i kazali im het do siebie strzelać, a oni się ta oba nie bili z sobą, jeno patrzali, co się dzieje i przykazywali celnie strzelać. Walili tak całe dwa dni, aż na okolicę ludzie uciekali, gdzie kto mógł, bo nie do wytrzymania było, osobliwie bez te harmaty. Nabili Prusowi moc żołnierzy, leżało toto kupami, jak słoma na boisku, bo Napolion swoim ciągle dogadywał, jako o Częstochowę chodzi. Widzi Prus, że nie poradzi, tak go porwał gniew straszny i powiada: tak nie idzie, panie Napolionie, spróbuja się oba we

dwóch. No, a Napolion był chłopina, nikiem wiechetko, a tamten drażał ogromny. Jak się wzięli wpół, tak tamten odrazu ścisnął Napoliona i podniósł do góry; byłby go rznął o ziemię, jak nic. Wtenczas Napolion już w powietrzu westchnął i woła: Ratuj, Panienko z Jasnej Góry!.. A temu Prusowi zaraz grunt pod nogami tak osłiznął, że się przewalił i Napolion leży na wierzchu, a tamten pod nim na spodzie. Oddaj mi choć Kłobucko — prosi ten Prus. — Nawet ci Panaków nie oddam, wynoś się precz pod Blachownię, pod Praszkę — powiada Napolion. — Wojsko całe Napolionowe w śmiech; dostali za to na miejscu po dwa półkwatki wódki, — a ja przecie o jednym kieliszeczku nie mogę zostać...

Tak znowu dali Florkowi wódki, a on całą szklaneczkę rozlał w dwa kieliszki i trącił się z Zarazą na przeprosiny.

XII.

Kiedy tak Beldonek chodził po świecie z Florkiem, tymczasem we wsi jego ludzie nie rozumieli, gdzie się mogło zapodziać takie dziecko. Choć go ta dawniej za nic mieli i każdy nim pomiatał, teraz na wszystkie strony słyhać było, jak się pytali: — „co się stać mogło z tym Beldonkiem?“ Osobliwie też baby dopytywały się o chłopaka, bo pamiętne były jego matusi, ucziwej kobieciny, co z nią przez długie czasy przyjaźni zażywały.

Stryk Matus nic nie mówił, ale chodził jak święty, markotny był na swoje, że z jej przyczyny skatował chłopacznę, bo żeby nie to, nie byłoby we wsi żadnego gadania. O mało nie pękł ze złości, jak go kto spytał:

— Coście wy zrobili z małym Beldonkiem? Bo wiadome rzeczy, każdy się ujmuje za sierotą bez ojca i matki, jakby się krzywda takim dziecku od ludzi stać miała.

Aż tu pewnego dnia wpada do Matusowej ujna Beldonkowa, co była pono w dubelt krewna z matką chłopaka; Gierka jej było na imię. O, ta była baba-ziółko, z chłopemby się uporała.

— Hanka! — zaraz mówi. — Coście wy dziwnego zrobili z tym chłopakiem po nieboszczce? Niech was rany Boskie bronia, żeby w tem było jakie łajdactwo!... Jakbym zwąchała, że to kóli zagarnienia tej krzyny chudoby, tobyście się daleko sprawiać musieli; jabym się z moim nie oparła w Chmielniku!... Ciągałabym na sądy gorsze, na Kielce, na Chęciny...

Tak ją zaraz łagodzi Matusowa:

— Miejże ty, Gierka, dobry rozum w głowie; pomiarkuj sobie, co my przecie nie żadne pogany! Gdzieby kto dziecku krzywdę zrobił?... Że go ta mój przeciągnął powrozem, to co? Zwyczajnie, chciał, żeby chłopak na ludzi wyszedł: na swojego w takim razie jeszcze lepiej ręki nie żałuje, tyła że ten nasz Wojtek bardziej do chałupy przywiązały, to nie odleci, jak tamten. No, i Beldonek musi, wróci, jeno patrzeć, bo coby taki robił na świecie?

Nie dużo to ta pomogło, bo Gierka i tak publikowała oboje Matusów, zarówno w karczmie, jak po wsi całej.

Matus czuł, że się naród precz od niego odsuwa, a uważanie miał ogromne, bez to, jako rok rocznie podatki z całej gminy do powiatu odnosił. Nigdy go nikt nie spatrzył na niczem

takiem, żeby mógł być posądek. To go okrutnie kordziły one babskie obnoszenia.

Jak sobie raz wszystko rozmyślił, tak powiada:

— Bierz kacie!... Nie przeniosę na sobie; — żebym miał do Krakowa pojechać, to pojedę, a muszę należeć tego chłopaka!

Nie kupić było u niego takiego zawziątku, bo chłop był strasznie honorny. Tak wpada raz do chałupy i mówi:

— Hanka, wyładuj mi na jutro obleczenie! Niewytrzymanie ludzkie! Kryminałem mi grożą te juchy, powiadają, żem zgładził dziecko ze świata. — Widać zasłyszał co z onej obmowy Gierki, i już koniecznie mu w głowę wlaźła jazda za tym Beldonkiem.

Zabrał się raniusko i wio, jedzie a myśli, gdzie tu szukać wiatru w polu? Przyjechał do Chmielnika, stanął na rynku, porzucił szkapom naręczko siana; rozgląda się po przejezdnych, zagaduje, ale mu się ta nawet nijako rozpytywać. Co kogo tknie, każdy jeno ramionami rusza.

Zmówił się z jednym chłopem, co od Buska jechał ku Kielcom, a znali się oba już dawniej, tak go Matus poczęstował gorzałką, a szczerze prosił:

— Moi dobrzy, upatrujcie też po swej drodze takiego chłopaka dziewięciu lat niespełna, rozpytujcie się ludzi, a jakby co było, dajcie mi wiedzieć z powrotem. Gotowem znaleźne dać, jak za bydlę...

Tak Matus molestował ludzi jadących w różne strony; myśli sobie: „Przecie się chłopak

pod ziemię nie schował, i jak nie jeden, to drugi go znajdzie.“

Z Chmielnika pojechał do Buska; tam się ludzi dużo kąpało kóli dobrego zdrowia, a fura za furą przyjeżdżały od samego rana; było ogromne zbiegowisko narodu. Krętu wężu, chodzi Matus precz po zajazdach, i gdzie jakiego furmana spotka, zaraz się z nim wdaje w rozmowę. Tu też nikt nic nie widział, a on każdego prosił, żeby po drogach dawać baczenie, bo gdziebądź mógł kto spotkać Beldonka. Zwyczajnie, tak się zawdy szuka każdej zguby.

Tak obszedł Matus Busk cały i nie wiedział już co dalej robić, kiedy naraz spostrzega jakiegoś chłopca z furą; konie jadły, a chłop się o wóz oparł, fajkę zakurzył i patrzył przed siebie, musi popasał.

Stryk Beldonków zaraz do tego obcego podchodzi i wywiaduje się, że to jest chłop z pod Pińczowa, z Gartatowic i dzień w dzień dowozi do Buska wapno na murowanie jakiejs oberży. Zgadali się z sobą od jednego razu. Kiedy mu Matus opowiedział wszystko od początku do końca, tak ten chłop powiada:

— Będzie rychtyk parę dni temu, widziałem na drodze chłopaka takiego, jak mówicie, jeno nieszedł sam — a z dziadem; od wsi do wsi żebrując, pewnikiem szli do Pińczowa tamtędy...

No, Matusowi zaraz się raźniej zrobiło; poraczył chłopca dobrze za tę wiadomość i na całą noc pojechał do Pińczowa. Po drodze sobie tyła myślał:

— A to rak jeden! poradził sobie; przystał do dziada, żeby mu biedy nie było.

Nocą dowlókl się Matus do Pińczowa; ale do samego rana oka nie zmrużył, tak mu ten chłopak świdrował w głowie. Rano wyszedł z zajazdu na miasto. Każdy z sukmany widział, że przyjechał człowiek zza Chmielnika, zpod stopnicy; Żydki zaraz zaczepiają: — „Piękny tam u was urodzaj?“ — „Może macie co do sprzedania?“ — „Pójdźcie do mnie, gospodarzu! wszystkiego dostaniecie...“ Napierali go na każdym kroku; ale on się ta nie gniewał, z każdym co pogwarzył, bo był ogromnie ludzki. Tyla z Żydami nie mógł się o tego chłopca dogadać, bo jak który zobaczył, że Matus nie sprzedaje, ani kupuje, zaraz odchodził i nie chciał słuchać. Dopiero stryk Beldonków idzie między przekupki i upatruje, czy jest która chrześcianka. A no, były tam dwie takie, co jedna sprzedawała kukiałki, a druga — farynę, i ta druga osobliwie była okrutnie rezolutna baba. Kupił Matus zaraz u niej setną kiszkę i jeść zaczyna, a w rozmowę się wdaje niechęcący. I nie stracił na darmo pieniędzy ani czasu, bo kobieta ogromnie dokumentnie rajcowała.

— Widzi mi się — powiada. — Widziałam tu kiedyś z podcienia dziada siwego z chłopakiem, jak szli ku mostom rano... Trzebaby wam jeno, gospodarzu, wywiedzieć się, gdzie oni mogli nocować.

Podrapał się Matus w głowę, bo jak się tu dowiedzieć czego w takim ludnem miejscu, tak pyta onej przekupki:

— Jaka też będzie pani rada na mój frasunek?

— Idźcie — powiada ona — do magistratu i pytajcie o policyanta Łapalskiego; jakby

on wam nie poradził, to tu w Pińczowie drugiego niema...*)

Pokazała mu, gdzie jest ten magistrat i Matus poszedł.

Przychodzi tam i widzi, że siedzi człowiek w wysokich butach, a kozuch ma na sobie; od razu poznał, że taki musi do urzędu należeć, bo miał kaszkiet z czerwonym lampasem i u spodni z boku wypustkę takąż. A no, powiada mu, kto go tu przysłał i po co; trafił odrazu na Łapalskiego.

— Musi ta przekupka szczęśliwą ma rękę, kiej mi się tak darzy — powiada sobie Matus.

O, ten Łapalski był kuty, ogromnie obrotny w rozumie i języku!

— Czekaście, gospodarzu — mówi — jakby tu tylko w mieście było co takiego, to już moja rzecz... Z pod ziemi wykopiewa dziada i chłopaka, będziecie o nich mieli wszystko jasno, jak na dłoni. Pójdźwa na miasto!...

Porwał się on policyant z ławy, leci przodem, a za nim Matus rażno dogania i mówi:

— Możeby się pan policyant czego napili?

Łapalski nie był od tego, prowadzi Beldonkowego stryka do porządnego sklepu, co tam tylko same urzędniki pijały; tak im zaraz postawili czyściutki szkło i dali gorzałki, nie takiej prościuchy, jeno z kroplami — gorycz okrutna, aż gębę na drugą stronę wykrzywiło. Po

*) Należy wiedzieć, że w one czasy (r. 1851), magistrat miasta Pińczowa nie posiadał etatowego policyanta, ale obowiązki te spełniał tymczasowo Walenty Łapalski, mieszczanin z przedmieścia Mirów. To samo bywało w Skalbmierzu, Wiślicy, Koszycach i Busku.

łożyli im parę słodziutkich rodzynków, żeby im się po tej goryczy wydało, że co słodkiego pili.

Wychodzą na rynek, Łapalski, co kogo spotka, zaraz z nim: „szur—szur;“ kto go ta wie, o czym szwargotał, dosyć na tem, że nareszcie powiada:

— Pójdziecie ze mną na Mirów; jak tu są jeszcze w mieście te ptaszki, zamkniewa ich zaraz w kozie... Oho, u Skubały bywają różne dziady, wiem ja, wiem! Dawnobym go ubrał, żeby nie święte miejsce jego przy klasztorze.

Przyszli do Skubały. Tak ten policyant chciał Matusowi pokazać moc swoją i odrazu na dziada z góry:

— Śpiewaj mi prawdę — mówi. Był tu siwy dziad z chłopcem, czy nie? Jak nie powiesz, wezmę zaraz do kancelaryi do protokółu!... Ale Skubała się na to jeno roześmiał i powiada:

— Oj, Łapalski, Łapalski! Nie głupi z ciebie faja? Mnie myślisz magistratem straszyc... Ja i do powiatu znam drogę, a nikogo nie straszę. Od tego przecie noszę na sobie szkaplerz, żeby się takich nie bał...

Więc policyant zmiękł zaraz, nie straszy dłużej dziada, jeno go głaska ręką po plecach i mówi:

— Nie sierdź się stary!... Co tam, tak sobie gadałem! Dobry oto człowiek potrzebuje, żeby mu w biedzie poradzić.

— Ja tu nie myślę nic gadać — rzeknie Skubała. — Postawcie co, boby mi język usechł: naturę mam taką już od urodzenia.

— Tak było odrazu i mówić! — powiada Łapalski. — I ja nie od tego, bratku. A jakże, wypijemy, ten gospodarz gotów zapłacić.

Pociągnęli do szynku naprzeciwno, powłóki się też za nimi Onufer. Dopiero tu pili do późnego wieczora. Onufer był łapczywy do picia, choć przez cały czas gęby nawet nie otworzył. Nareszcie przypomniał sobie Matus, że się z jego końmi mogło stać co złego w zajeździe, bo od rana do nich nie zajrzał; chciał, żeby ten Skubała prędzej mu co o Beldonku powiedział. Popili się okrutnie, tylko Matus stał prosto na nogach, a ten Onufer spadł z ławy i na ziemi się poniewierał, jak trup jaki. Potem Łapalski bierze chłopca na bok, całuje się z nim w gębę i serdecznie prosi:

— Tyś dobry brat, pożycz kilka złotych!... Jak Boga kocham, oddam na święty Michał.

Nijako się było wymówić Matusowi, więc wziął i pożyczył trzy złotki, jeno rozumiał, że to idzie na wieczne nieoddanie. Tak się znowu potem dopraszał pożyczki i Skubała, a nijak nie chciał brać dwóch złotych, jeno trzy takż.

Widzi chłop, że oni go tu z pieniędzy obiorą, a rady żadnej nie dają, tak zaczął kłać okrutnie, bo też pałę zalał. Wtenczas dopiero Skubała opowiedział, jako dziad Florek Myszka nocował u niego z Beldonkiem i na drugi dzień poszedł ku Częstochowie przez Jędrzejów, Włoszczowę, Koniecpól.

— A toć ja tego Florka znam! — mówi Matus. — Pochodzi z naszych stron, z Januszowic... Różnie o tym człowieku mówią; musi niekoniecznie on samem nabożeństwem żyje; pono bogactwo wielkie ma gdzieś zakopane...

XIII.

Skoro Florek wyszedł już był z Kosowa, tak jakoś około samego południa bawiły się tam we wsi pod płotem dzieci Maćka Hebdy i dzieci młynarza Szymka Kruszczyka.

— Wiesz ty co? — powiada Nastka Heb-
dzianka do Franki Kruszczykówny, u nas dziś
w chałupie nocował dziaduś jeden, co szedł z ma-
łym chłopakiem do Częstochowy... Tatusz opo-
wiedział matysi, że jak ten chłopak wpadł w wa-
sze kartofle pod lasem, to je do cna skopał...

Franka zaraz z językiem poszła do matysi.
Młynarka nie uwierzyła, jeno sama pobiegła pod
las na pole zobaczyć, czy prawda. O mało się
nie splakała, jak zobaczyła spustoszenie. Wy-
gnała swego do Hebdy, żeby się co dowiedział
o tym dziadu z chłopakiem. Poszedł i dowie-
dział się; Hebda rozgadał wszystko, bo myślał,
że dziad jest już Bóg wie kaj od tego czasu,
więc nic być nie może z młynarzowej złości. Ale
Kruszczyk był zły strasznie.

— Nie daruję — mówi. — Pojadę zaraz za
nimi, dogonię i sfantuję psianogę starego dziada,
albo mi też musi za szkodę w dubelt zapłacić.

Wnet potem zaprzągnął do wozu parkę śwara-
nych koni, puścił im lejce i pojechał wartko.
Przyjeżdża do Dąbia, dowiaduje się we wsi, że
tu jest w karczynie ten sam dziad, którego szuka.
Pędzi do karczmy, konie parskają. Przypadł tam
w sam raz wtenczas, kiedy się to Zaraza ściał
z Florkiem, a potem Florek opowiadał znowu
o cudzie na pruskiej granicy.

Co się tylko dziad napił wódki, a tu rych-
tyk wchodzi Kruszczyk.

Sama jeno karczmarka wiedziała, że to przy-
był młynarz z Kosowa, tak go pozdrowiła, a on
nic, kiwnął tyła głową i wyglądał na to, że jest
zły, jak dyabeł. Od razu podchodzi do Florka
i pyta w te słowa:

— Wyście ten dziad, co idzie do Częstochowy?

— No tak, albo co? — powiada Florek.

— Wyście nocowali w Kosowie u Maćka
Hebdy?

— Juści ja, ale co z tego?...

— To — rzeknie młynarz — że takie łaj-
daki nie powinnyby się na świętem miejscu po-
kazywać, boście wy mi skopali kartofle na no-
wisku pod lasem...

— Człowieku, miejże upamiętanie! — woła
Florek. — O jakichże wy to kartoflach znowu
mówicie?...

— O swoich własnych — a nie kóli upa-
miętania tyli sztuk drogi za wami gonię, jeno
wam muszę dać uczciwą naukę!...

Tyle powiedział i zaraz chwycił on młynarz
za torbę dziada; oberwał mu ją, a potem cap za
drugą i takież zerwał. Trzyma te torby w ręce
a klnie tak, aż się karczma trzęsie; Florkowi
ani razu nie daje przyjść do głosu.

Zaraza rad był teraz, że dziada tarmoszą, bo
choć się z nim niby to pogodził, ale zawdy miał
jeszcze urazę, dobrze pamiętał onę krzywdę, jako
go dziad przegadał.

Już się Kruszczyk naleźycie wywrzeszczał,
wysapał, precz trzyma w garści te obie torby
i zaczyna teraz opowiadać karczmarce, jako mu
urodzaj zepsuli w kartoflach. No, bo juści po to
orał i sadił, żeby zbierał. Każdy tam w karcz-
mie myślał, że młynarz ma słusznie.

Ale dziad, jakby nigdy nic, podchodzi też do karczmarki i powiada:

— Może tu jest w domu jaki święty obraz?...

Wszyscy słuchają, na co to jemu obrazu? — a karczmarka mówi:

— Mam w swojej izbie nad łóżkiem obrazy święte, a jakże, — jeno na cóż wam one?...

— Chcę koniecznie przysięgać na jakie świętości, a nie, to się pomodlić, bo jak mię Święci Pańscy nie poratują jeszcze, cóż zrobić z ludźmi takimi, jak ten oto?... — pokazał palcem na Kruszczyka. Pomodlę się, żeby go Pan Bóg wzruszył; niech pozna moją krzywdę!

— Krzywda nie wasza, jaka tam krzywda!.. Krzywda moja! Te torby mi nie zapłacą za szkodę... — woła młynarz.

— Krzywda moja! — krzyknął Florek. — Przed trybunałem Najwyższego z nią stanę i pozwę was, żebyście słyszeli, co będę mówił, kiedy mię teraz słyszeć nie chcecie!...

Odrazu ten młynarz ochłódnął na taką przemowę i powiada:

— Cóż mi teraz przyjdzie ze słuchania, kiedyście w kartoflach narobili psoty?...

— Nie ja narobiłem!... — woła Florek.

— To któż? Macie wy sumienie wypierać się w żywe oczy i jeszcze imienia Boskiego nadaremnie zażywać?

— Widzicie go!... — mówi dziad i palcem pokazuje na Beldonka. Nic po tem chłopaczkę, on kopał bez mojej woli! Możecie mu spisać skórę, jak chcecie; ale się nie rzucacie na starego, bo was czeka sąd ostateczny!... Grzech śmiertelny, pożałuję się na Jasnej Górze za tę krzywdę!... Torby mi oddajcie!

— Dobrze mówi!... Prawda święta! On nie krzyw, kiej chłopak skopał ziemniaki! — wołali różni w karczmie. — Nie napastujcie biednego dziadka!

Dopiero tknęło to młynarza, położył te torby na ławie, jeno się zjadliwie przyjrzał chłopakowi; zaraz było widać, że chce zbić małego. Bierze i wychodzi z karczmy, uciął sobie śmigłą witkę, może na palec grubą, wraca do izby okrutnie rozszarty, aż mu oczy zbieleły.

Beldonek nic nie wiedział, że o niego chodzi; słyszał ta w karczmie hałas, pomstowanie, ale myślał: — „Zwyczajne rzeczy w karczmie!“ Krajał i przebierał grzyby na wieczere. „Florkowiby też ta kto poradził — powiedział sobie — zabrali mu torby i oddali!“

A tu idzie do niego młynarz, bierze go w rękę jak kota, niesie i kładzie na ławie kóli tego, coby mu łatwiej zepsuć skórę na pokładankę. Byłby strasznie skatował chłopaka on Kruszczyk; jedno ledwie go sobie rozciągnął na ławie i już się strasznie zamierzył, żeby chlasnąć, kiedy się dziwna rzecz stała.

Naraz wchodzi we drzwi Matus, stryk Beldonków, patrzy, co się dzieje, i widzi, że Beldonek aż cały zsiniął ze strachu; tak już nie pyta na nic, jeno odrazu młynarza za gardło i rękę o ziemię. Gruchnął go tak z całej siły, aż chłopu łeb odskoczył od ziemi. Chce się zerwać młynarz, bo padł nieszczęśliwie, a Matus go przysiadła kolanem na piersi i dopiero wrzeszczy:

— A ty zbójku świętokrzyżki, będziesz się znęcał nad dziećmi cudzemi, nad sierotami!... A wara!

I tak trzymał precz młynarza pod sobą,

ten sie wił bez ratunku, wszyscy zaś w karczmie głowy potracili; nikt nie wiedział, gdzie jaka sprawiedliwość, a do tego wylękli się ogromnie.

Kiedy się to dzieje, Florek porwał z ławy swoje torby i cichutko wynieść się chciał z karczmy, iść w las, musi złego coś poczuł dla siebie.

Matus dopiero, jak dobrze nagniółt Kruszczyka, puścił go, sam się ogląda po karczmie i pyta:

— Gdzie ten łajdak Florek, co dzieci ze wsi kradnie?...

Nikt nic nie mówi, bo nie wiedzą, co powiedzieć.

XIV.

Florek miał się ku drzwiom karczmy, a tu go jak raz spozstrzega Matus, zachodzi mu od przodu, kładzie rękę na ramieniu i woła:

— Hola, bratku!... Pogadajmy teraz z sobą! Dziadeś to ty, czy Cygan, psie mięso takie, co się po wsi wałęsa i cudze dzieci kradnie? Jakąż ty masz wolność do tego?...

Dziad się zatrzymał, ale, jakby nigdy nie, patrzy Matusowi prosto w oczy i powiada:

— Człeku, człeku, co ci się też we łbie dwoi?... Gdzie, kto komu jakie dzieci znowu kradnie?... Czego mnie ty napastujesz? Czy to ja komu w drogę wchodzę?...

— Ehe, mądryś ty, i ja nie głupi! — mówi Matus. — Znamy my się, na nic takie udawanie! Sianem mi się nie wykręcisz... Skądże ten mój Beldonek wziął się tu z wami i lezie nieprzy mierzający jak cielę za krowim ogonem?

Dziad w śmiech na cały głos, kiwa głową, okiem mruga, pokazując ludziom Beldonkowego stryka.

— Widzicie go? — woła. — Zaczepki szuka wyraźnie... Ho, ho, nie tędy go wiedli! Cóż wy sobie myślicie, że jakeście z Balic przyjechali na cudzą ziemię, to wam z każdym tak pójdzie, jak z kosowskim młynarzem?.. No, no, i ja was znam!... Nie ze mną na udry!... Wzięliście tego chłopaka, Beldonka, na opiekę po śmierci rodzoniućkiej siostry — prawda?...

— Wziąłem, to i cóż będzie z tego? — rzeknie Matus.

— To, że o świnię więcej dbacie niż o dziecko; nie czynicie, jak Pan Jezus przykazał!... Możecie nie skatowali chłopaka i nie wygnali go z chałupy — hę?... No, a ja przygarnąłem sierotę, żeby z głodu nie uświerktł gdzie na drodze... Niech gada, czym mu żałował chleba, choć go sam u narodu muszę wypraszać!... Możem źle zrobić?... Nieboszczka jego matka z tamtego świata mnie błogosławi... .

Matus stracił na minie, gęba mu się przedłużyła, aż zbladł od tego gadania dziada.

— Wam się w to wtrącać nie wolno — rzeknie — czym ja chłopaka skatował, czy nie skatował, bo jakem jego stryk rodzony, to muszę dbać, żeby na ludzi wyszedł!... Dwóch, ani dziecięciu z niego nie będzie...

A dziad coprędzej bieży do Beldonka, ściąga mu z pleców koszulę i po pas gołego chłopca pokazał ludziom w karczmie. Każdy widział, że Beldonek miał na plecach tęgie basy i siniaki od strykowego powroza, tak się wszyscy porwali za głowy, jako ich żalność ogarnęła, że Matus srodze spisał skórę onemu niebodze sierocie.

— O rany Boskie! — wołają. — Piękna taka opieka! toć matka w grobie się wzruszy

i przed Bogiem użali!... To zbój, nie człowiek, stryk taki!

Najgorzej to już dogadywała karczmarka i jej dziewczka: zaczęły nawet te baby tak sapać, jakby chciały beczeć nad chłopakiem niby z wielkiej litości.

Widzi Matus, że oni wszyscy na niego, ci co tam w karczmie byli, a jeszcze przychodzili coraz nowi. Pomiarkował się odrazu, okrutnie był markotny, bo mu ani w głowie powstało, żeby od tego powroza chłopak mógł jeszcze mieć takie znaki po całych plecach.

Kruszczyka aż ręka zaświerzbiała, bo się chciał zemścić na Matusie, a do tego mu jeszcze Zaraza coś poddawał. Jenó ten Kruszczyk, skoro już raz był w garści, to sobie widać pomyślał, że z takim chłopem lepiej nie zaczynać, i nie rwał się tak bardzo do Matusa, choć nawet ze dwa razy w rękę plunął, niby że się odgraża.

Ten to, drugi owo — precz dogadywali Beldonkowemu strykowi, a on prawie języka zapomniął w gębie, i jak co powiedział, to nie było do niczego podobne. Spozstrzega Florek że jego wygrana, tak się już przestał sierzcić, jenó podchodzi do Matusa, palcem kiwa, a dokumentuje ogromnie:

— Chłopaka mi tego nie śmieście teraz odbierać, ochfiarowałem go Matce Bożkiej Częstochowskiej, jako sierotę bez matki, bez ojca... Takie ochfiarowanie na niczem się skończyć nie może, boby się potem na dziecku skrupiło. Wiecie wy czem to pachnie?..

— Skapiałby chudziaczek! — powiada karczmarka dziewczka; podeszła do Beldonka, daje mu skórkę z chleba, pogłaskała go po głowie i zno-

wu mówi: — Jedźże, jedź, mojes ty małe, pis-klaczku!..

A juści, juści!... skapiałby pewnikiem, — wołają ludzie. — Powinien iść do Częstochowy, niech idzie, kiej go dziaduś ochfiarowali!

Nie wiedział Matus, co robić, jak tu poradzić, skoro wszyscy byli po stronie chłopaka. Chciałby go zabrać do chałupy, a tu się dziad upiera, no i ludzie dogadują; tak już do krzty stracił odwagę, patrzy na chłopaka, a pyta:

— Cóż ty na to Beldonek?... — wróciłbyś ze strykiem do chałupy — he?...

Dopiero wszyscy spoglądają na chłopca i mówią:

Głupiby był, żeby wracał!..

Tak Beldonek nie mógł ani słoweczka przemówić; uważał sobie niby, jako u wszystkich jest ogromny zawziętek; coby nie powiedział, zawdy źle, boby mógł rozzłościć albo stryka, albo Flor-ka i ludzi w karczmie; spuścił tyla oczy w ziemię i trzymał się cicho, żeby go co złego nie spotkało, jak przemówi. A dziad się zaraz porywa, woła:

— Widzicie, Matusie, myśleliście, że on z wami pójdzie; ale czy jemu nie lepiej święte miejsce zobaczyć?..

— Takie toto maluśkie — mówią baby — a rozum ma w głowie, jak przynależy... Pan Bóg mu już tak daje, żeby na co godnego wyszedł..

— Ha, kiej na to przyszło, musi taka wola Boża!.. — powiada Matus. — Ja ta nie od tego, żeby chłopak zażył uczciwego nabożeństwa; niech się chowa kóli pobożności! Iść do Częstochowy nikomu nie zawadzi; jenó pamiętajcie mi dziecko potem do Balic odstawić, boby mnie gromada

w łyżce wody utopiła, jakby się chłopak kaj zawieruszył...

— Jak zgoda, to zgoda, aż miło! — rzeknie Florek. — Dajcież gospodarzu na zgodę rękę! Toć ja ciągiem myślałem, co taki jak wy uczciwy człowiek, na okolicę znany, rozumie każdy porządek.

Wyciągnął dziad prawą rękę, wyciągnął także i Matus, dopiero się tak oba trzasnęli sętnie, aż w karczmie huknęło, jakby kto strzelił. Zgoda była ogromna, każdy z tego kontent był zupełnie.

Dziad sobie uważał, że można teraz użyć Matusa, więc powiada zaraz:

— Postawcież gorzałki, wypijewa za wasze zdrowie i tego dziecka, żeby wam się dobrze działo! Pokażcie, jako uczciwa jest wasza opieka nad sierotą... Wyście tu człowiek zagraniczny między obcymi.

Stryk Beldonków podszedł w te pędy do karczmarki i mówi:

— Daj pani kwartę tej tętszej, co półkwaterek więcej niż na czeski...

Tak się zaraz przysunął do szynkwasu i Zaraza, a Florek znowu mrugnął na Kruszczyka, żeby i on podszedł bliżej, bo będą także na zgodę pili, coby załagodzić tamtę turbacyą; niby że Matus z pierwszego momentu zeprał młynarza, ale ta już czas było zapomnieć. Kruszczyk idzie nie idzie, tak się coś ociągał, jeno Florek odrazu oręduje kóli zgody i popycha młynarza do Matusa; tak się ci obaj chłopci nareszcie scapili z sobą i het sobie dawali gęby, że już złość w nich przeminęła niby. Wypili po parę razy, a coraz to raźniej gwarzyli o różnościach; prędko ta kwarta wsiąknęła — nie wielkie rzeczy.

— Młynarzu — krzyczy Florek — na was kolej!... Kiej Pan Jezus zdarzył dzisiaj takie kochanie, toć wy pod kpm nie będziecie; postawcie i wy kwartę na odsiebkę!... Niech ta już nie będzie pamiętania o tej bijatyce, jacy więcej profitu niż szkody komu...

Kruszczyk patrzy tylko na jedno oko, bo mu drugie całkiem zapuchło, tak go Matus grzmotnął był o ziemię i chłop upadł strasznie nieszczęśliwie. Ale co mu tam było! kazał postawić i on kwartę, dopilnował pełności, choć jednym okiem, i znowu przepijali do siebie.

Przy tej drugiej kwarcie już im łby pozawracało, tak też huczeli w karczmie niby pszczoły w roju. Skoro nieźle napili, dopiero dziad bierze na bok Matusa i tłumaczy mu, że on na owego Beldonka wydaje precz wszystko, co po drodze użebduje; no, a przecie to nie idzie, żeby gospodarskie dziecko miało żyć na samej jeno dziadowskiej łasce.

— Ja mu ta nie żałuję — powiada Florek — niech je na zdrowie, niech rośnie; tylko wam, gospodarzu, nijak nie przystoi — mówię wam szczerze — żebyście sierotce wikt skąpili...

Jak się już raz zabrał dziad do Matusa, jak go zaczął napierać, molestować, tak sobie chłop żadnej rady z nim dać nie mógł; nie dużo ta miał pieniędzy przy sobie, pewnie nie więcej talarka; ale oddał Florkowi wszystko, zostawił w kieszeni jacy półczwarta czeskiego, żeby było o czem wrócić do chałupy. Zabawili się w tej karczmie uczciwie, a wszyscy bardzo polubili dziada.

Już dobrze w nocy było, kiedy Matus i Kruszczyk wsiadli każdy na swoją furę; jechali jeden

za drugim ku Kosowu, a gwarzyli na cały głos z sobą o tem, jak się co dzieje koło Chmielnika, a jaki znowu zwyczaj koło Włoszczowy. Żalu do siebie nie mieli żadnego bez to, że się wszystko załagodziło przy półkwatku.

XV.

Dziad i Beldonek siedzieli jeszcze dzień cały w Dąbiu, bo ludzie tam byli okrutnie dobrzy, i jak się wszystkie różności o Florku rozniosły po wsi, to dziad już nie potrzebował obchodzić chałup — precz mu znosiły baby, co która mogła. Wyładowali sakwy ogromnie. A ten Michał Zaraza miał teraz dla Florka taką przyjaźń i przywiązałość, że jak odchodzili, wyprowadził ich het za wieś, za drugą figurę. Kiedy się już trza było pożegnać, Zaraza mówi:

— Strasznieby mi lubował żywot taki chodzący, poszedłbym z wami, gdziebyście chcieli; jacy nic mię do wsi nie wiąże, jeno to jedno karczmisko, a już i ono obmierzło...

Bo był bez żadnej roboty ów-ten Zaraza, całkiem żył na wolności, i choć najtwardsze były żniwa, jego nie uświadczy ani z sierpem, ani przy zwórze, czy kajbądź. Chłop się rozlenił na nie, to nie dziwota żadna, że mu dziadowski chleb pachniał; ale Florek nie miał do Zarazy przekonania i wręcz mu powiedział:

— Gdzie tobie żyć na proszalnym chlebie!... Z tem zdrowiem i z tą młodością, nie mający żadnego kalectwa, na pośmiewisko ludzkie chyba włóczyłbyś się po świecie, a nie kóli pożytkowi jakowemu. Toć z ciebie chłop nikiem koń, siłę musi masz okrutną, jenoś zleżały taki...

Dopiero się pożegnali pod drugą figurą i oni poszli swoją drogą, a on wrócił do Dąbia.

Idą na Włoszczowę, na Lelów, a dziadowi ciągle się wiedzie doskonale, goli pieniądze i torby omal mu nie potrzaskały od pełności; takie już były wypchane jak krowy, kiej się je dobrze nakarmi do doju.

Beldonek się poduczył w drodze śpiewania pieśni i śliczne różne modlitwy umiał już zmówić, szło mu to teraz gładko. Ha no, nie spieszyli się ta osobliwie, bo Florek powiadał, że mają dużo jeszcze czasu; wysiadawali ciągiem po wsiach, a kosztu żadnego nie było, bo wszystkiego u ludzi dostali. Lud w tamtych stronach nabożny i okrutnie miłosierny do jałmużny, choć ziemia urodzajem nie grzeszy i często gęsto skowronka dojrzy w stojącym zycie, a jak porzną, to garści od garści, Boże się pożal... dobry chłop nie przeskoczy.

Za Włoszczową pod Koniecpolem rzekę piękną przechodzili, to się tam dziad czyściutko wymyśl i chłopakowi dał pozwolenie, żeby się coniebaź pokapał, popluskął na ogromnym przyparku.

— Idź — mówi — wyszoruj się piaskiem, obmyj ciało, bo piękniejszej wody już do samej Częstochowy nie będzie, a trza nam się będzie pokazać.

To się pociapał Beldonek w onej rzece nityle dla czystości, ile że takie małe zawdy rade w wodzie jak kaczka.

Zbarłożyli w tej podróży kupę czasu, a wszystko z takiej przyczyny, że na przypołudnia i precz do odwieczera okrutnie grzało — żar z nieba żywcem kapał, jakby człowieka spalić chciało; więc Florek mówił:

— Czy to Pan Jezus chce odemnie starego, żebym się na takim skwarze prażył i kurz tykał? Lepiej gdzieniebądź w cieniu Boga chwalić.

No, to po chłodzie tyła wędrowali, a zresztą kóli wygody przesiadywali gdzie — w chałupie, czy w karczmie, albo li też w lesie.

Jak sobie tak raz spoczęli w boru, dziad powiada do Beldonka:

— Siedz-no mi tu z brzegu, poczekaj, zostawiam ci torby, a ja tam pójdę w krzaki...

Zebrał się i poszedł w gęstwinę; ale nie wracał coś długo, nie było go widać, a chłopak się strachał, sam nie wiedział czego, patrzył tylko naokolusienko, czy się co gdzie nie pokaże. Przygląda się, a tu zdaleka bieży pies, wali prosto wedle samej drogi rowem, wywiesił język, zadarł ogon, idzie, zaraz widać, że się niczego nie boi, że ma ogromną śmiałość w lesie. Spore było to zwierzę; tak Beldonkowi przyszło do głowy, czy aby nie jakiś zły pies, bo wiadomo jako psy wściekłe uciekają ze wsi, stronią od chałupy, a kiedy gdzie na osobności zdybiają dziecko albo i starego, to straszne rzeczy... Chłopak już nie mógł dotrzymać siedzący przy tych dziadowskich torbach, jeno kiedy widzi, że pies, ani pyta tylko sunie na niego, tak się porwał i buch w krzaki. Nie wie co robić, bo krzyczeń też nie dobrze; bał się znowu i Florka, jako miał przykazanie siedzieć ciągiem przy torbach, pilnować, a odbiegł. Tak dygotał jeno z bojaźni i między krzakami się przesuwiał w utrapieniu. Spogląda naraz przed siebie i widzi, że jego dziad rozłożył torbę papierowych pieniędzy, poukładał toto precz porządkiem naokoło po trawie, na kolanach i musi coś kalkulował w głowie.

Beldonek zmiarkował, że nie idzie tak podpatrywać Florka, bo pewnikiem dziad nie chciał nikomu pokazać onych pieniędzy, skoro odszedł na osobność; mógłby się rozsierdzić na dziecko. Więc się chłopczyzna aż przeląkł takiego widoku i pocichutku odszedł z małe stajanko na bok; dopiero teraz zaczyna się drzeć w niebogłoso:

— Pies wściekły, pies...

Dziad się odrazu porwał na równe nogi, zgarnął te papiery, włożył je w zanadrze, gdzie nosił także szkaplerz, i leci na ten krzyk; wnet spotkał Beldonka i ze złością powiada:

— Widzę, żeś ty, psia wełno, torby moje zostawił na drodze!...

Chłopak się trzęsie od strachu, aż zębami kłapie i pokazując palcem w tamtą stronę, gdzie widział one psisko. Zaraz idą oba ku torbom — straszne rzeczy! Pies się rozwalił na jednej torbie, powyciągał, porozwłóczył z niej wszystko, trzyma w przednich łapach będzie z pół bochenka chleba i gryzie to z wielkiem zawzięciem. Narobił dużo szkody. Florek się ta wcale psa nie bał, jeno złość go porwała okrutna: jak nie skoczy, jak grzmotnie kijem szkodnika, to pies wszystko wypuścił z gęby, tak mu się na skowyt zebrało, uciekał, a precz po drodze wrzeszczał z żalości i bólu. Teraz na Beldonka przyszło, chwycił go dziad za kark, rznął o ziemię, a potem wsypał będzie z dobre dziesięć kijów.

— Nicponiu jeden — mówi — Boga w sercu nie masz, żebyś ty krwawą moją pracę dawał psom zjadać!... Tak mi to odpłacasz za opiekę, za wszystko, co ci daję? Dardański osle! Świnie ci pasać, nie z uczciwym człowiekiem po świętych miejscach chodzić!...

Chłopak myślał, co sprawiedliwe było to bicie i pomstowanie, bo pies nie miał w sobie żadnej wściekłości; zwyczajnie musiał być tyła głodny i koniec. Ale się i tak spłakało dziecko; jeno mu Florek zakazał na głos płakać, to nie beczał całkiem, tyła się łzawił.

Choć był duży przyparek, poszli teraz już dalej, minęli las, dostali się na piachy; żadnej drogi nie znać prawie, tylko naokoło pełno krza jałowcowego i choiny niskiej, co z tego mało cienia dla idącego, jeno trzebaby się położyć, jakby miała być jakowa obrada. Florek się dobrze zapocił i chłopiec także ledwie nogi czuł pod sobą; ale jeden do drugiego słówka nie pisnął, wlekli się jak smoła. Kiedy się dobrze zapuścili w one choinki, spojrzą, a tu na ziemi leży pełno ludzi, było ich jak nabił — wszystko aż czarne od spieku i kurzu.

Dziad do nich zaraz z Bożem słowem, a oni mu leżący odpowiadali: — „na wieki wieków.“ Dziwność była, bo między tymi ludźmi nie było żadnego chłopca, jacy baby same i chłopaków trochę, nie to, żeby parobków należytych, jeno młodziaków takich cienkich, jak chabiny. Niektóre się wyciągnęło i spało, mający głowę pod choiną, a inni siedzieli tylko z tobołkami na podłku. Florek zagadał do jednej starej baby:

— Z kompanią widzę idziecie, matko?

— Juści z kompanią — odpowiada ta kobieta — tyła nie mamy takiego, coby nas prowadził.

— A z jakichże stron idziecie?

— Pono zpod Chęcina, a nie to zpod Kiele, bo ta nasza wieś na połowie drogi, i jedni po-

wiadają, że do Chęcina bliżej, a drudzy — że do Kiele.

— Nie z Dyminy będzie albo z Bielczy?... Toby mogło być także zpod Morawicy, choć ta Morawica nie miasto, jeno co karczma porządna kóli popasu i śwarna kapliczka taka na górze — rzeknie Florek.

— O mój Jezusiku!... To wy musi swojak, kiedyście na takiej Ukrainie wszystkiego pamiętni, jak gdzie stoi?..

— Swojak nie swojak, jeno kiej człowiek jest światowy, to zawdy wie, co powiedzieć... I bez przewodnika takeście się wybrali na Jasną Górę?..

— Bogać bez przewodnika; mieliśmy a to starego chłopca, co nas obrządzał het, jak się patrzy, jeno zaniemógł i padł na drodze, pomarł niebogi...

Cóż mu się takiego stało?... Pewnikiem śmierć nagła?

— Święci Pańscy raczą wiedzieć... Starowina był; pono pięćdziesiąt i dziewięć razy chadzał z kompanią, chciał koniecznie, żeby w tym roku do kopy dociągnąć i nie mógł... Zdrożył się, czy co takiego.

— To wam nijako będzie wchodzić na Jasną Górę bez człowieka... Choćby nawet do takich Zielenic, a już nie uchodzi, żeby kompania szła bez przewodnika, nie dopiero do Częstochowy — mówi Florek.

— Dyc wszyscy wiewa takie rzeczy, jeno co począc, jak tamten nie żyje?

Po próżnicy a to jedno się wlecze z bębniem, drugie z krzyżem; bo jak kto niema przemówić, to i rażność nijaka w nabożeństwie.

— Jabym was może i poprowadził, żebyście mię tylko chcieli słuchać...

— Czemu nie? — powiada baba. — Tać tu same kobiety i młódź tyła, wszystko powolne, z posłuszeństwem, rządzić tem mniej jeszcze ciężaru niż cielętami.

— Posłuchanie być musi u narodu — mówi Florek — jako wiadomo, że idący do Częstochowy, choć i z przewodnikiem, rwą nieraz na święte miejsce nikiej bydło z pola do obory:.. Cóż za nabożeństwo być może u takiego latawca?..

— A bo widzicie, mój dziaduniu, ludziskom się spieszy; pozostawiało toto robotę precz w polu, a tu znowu trza zajrzeć do Jasnogórskiej Pannienki w takie najgorętsze żniwa... Nie dziwota, że jeden bez drugiego leci — każdemu pilno.

Zaraz ta baba zmówiła się jeszcze z drugą, trzecią babą; a dopiero rada w radę koniecznie, żeby mieć przewodnika, a ten Florek im się okrutnie spodobał bez to, że miał bielušką brodę, jak święty Józefek. Tak dziad miał teraz całą tę kompanię prowadzić, a ci ludzie złożyli się, coby takiego przewodnictwa nie było za darmo.

XVI.

Prowadził teraz Florek tę kompanię. Żeby było więcej parady, tak sobie na wierzch wyłożył szkaplerze i duży mental z mosiądzu, co pono był święcony i pocierany na Jasnej Górze o obraz. Jak tylko dochodzili do jakiej figury albo kapliczki, dziad zaraz pieśń jaką zaczyna, no, a jeśli figura była duża, piękna, to wszyscy klękali i zmówili za Florkiem litaniją, bo dziad wszystko rozumiał należycie. Kiedy znowu podchodzili do

wsi kościelnej, dziad kazał walić mocno w bęben, a potem z hukiem onym i ze śpiewaniem do wsi wchodzili; nabożeństwo im całe prowadził jak ksiądz jaki. W takiej wsi to się zatrzymali, a dziad kazał sobie ławę wynieść z chałupy, stawał na niej i mówił porządne kazanie. A jakże, wrzeszczał tak okrutnie, że się niejeden spłakał od tego krzyku; osobliwie, że Florek w ów-tych kazaniach precz nastawał na taki naród, co to we wsi się zasiedzi, napija tyła, a do cudownego miejsca się nie ruszy i biednego ani w domu, ani nigdzie nie opatrzy. Strasznie się ludzie wzruszyli z tej mowy, bo dobrze mówił.

Do bębna było teraz dwóch chłopaków nie jeden, jak przedtem; obadwa ci bębniarze młócili pałkami tak z całej siły, że nieraz o mało skóra nie potrzaskała na bębnie. Gdzie się jeno pokazali, pelno było podziwu z tego wszystkiego. Choć się tam bardzo nie spieszyli, kompania szła z ogromnym porządkiem; tak też starsze baby z kompanii mówiły, że się lepiej idzie niż pod tamtym nieboszczykiem, co ich był wprzód prowadził.

Byli już dobry kęs drogi za Koniecpolem; przychodzą do jednej dużej wsi, a tu ludzie, jak tylko posłyszeli bębnienie i śpiewanie, tak gromadą dużą wyszli naprzeciwko; byli to sami tylko chłopci, a jeden z nich, sołtys pono, odzywa się do tej kompanii:

— Dobrze my wiemy, gdzie idziecie, moi ludzie, ale wam nie należy do naszej wsi wchodzić, bo powiadają, że w tych kompaniach pomorki się teraz trafiają. Nie dziwota temu żadna, bo jak drugi z ładajakiego miejsca wyjdzie, to po świecie rozniesie równie powietrze, jak

utrapienie... Ostańcie, ludzie, z Bogiem, i idźcie dalej, albo jak na upór, to nocujcie sobie gdzie za wsią, w szczerem polu!...

Florek im tłumaczy, jak złego nie być nie może, kiedy naród do Częstochowy idzie; możeby ta był sołtysa i przekonał, jeno jedna baba z kompanii wygadała się przed chłopami, że przewodnik dawniejszy w drodze umarł nagle, tak się chłopci zawzięli i nikogo już do wsi nie dopuścili.

— Możecie sobie — powiada ten sołtys — obejść wieś naokoło po ścierniach, przez podorywki, a nie wadzi, choćbyście ta i zboża komu krzynę przydeptali, zawdy lepiej niż jakbyście jakiego licha nanieśli.

Tak dziad rozpytuje, prosi o radę, żeby mu miejscowi ludzie pokazali, gdzie tu wybrać miejsce dobre do noclegu, żeby i ogień można było rozłożyć.

Zaraz im pokazali ci chłopci las do połowy wycięty i poszła tam cała kompania.

Beldonek już teraz był wolniejszy od tego dziada, bo jako on stary miał dużo zajęcia, to ta nie baczył, że chłopak odchodzi na bok i włącza się między kompanią.

Ale Florek dał jeszcze dziecku do dźwigania drugą torbę, a na takiego małego to było za dużo. Była tam zaś jedna dziewczucha z tym ludem, powiadała, że jej Zośka na imię, musi nie miała więcej nad szesnaście latek; widzi ona jako chłopaczyna dźwiga wielkie ciężary na sobie i ledwie co lezie, tak mówi:

— Jak tobie mały na imię?

On jej powiedział, że się zwał Beldonek. Nie chciała z początku wierzyć, bo się znała na ksiąźce nabożnej i pamiętała sobie, co niema ta-

kiego świętego; ale zmiarkowała, że pewnikiem chłopca ludzie w jego wsi tak jeno przezwali nie nie od chrztu żadnego.

— Dawaj mi jedną torbę — mówi Zośka — ja silniejsza, ulżę ci odrobinę...

Odrazu go to ujęło, kiedy mu mało kto dobre słowo dawał, a ów-ta dziewczyna miała chęć poratować. Ale cóż, bał się znowu Florka — mogłoby się dziadowi nie podobać, że chłopak komubądź oddaje torbę do pilnowania; tak już sam dźwigał dalej, o mało się z tego nie przerwał w sobie. I tak był rad, że z dziewczuchą może pogwarzyć, bo wyglądała jak co dobrego; od pierwszego spojrzenia mieli do siebie jakieś przywiązanie. Rozgadali się na dobre i jedno drugiemu opowiedziało o swoim sieroctwie, bo i ta Zośka nie miała równie tatusia ani matusi, jeno szła do Częstochowy z krewniaczką, Kundą, z tamtą starą babą, co się to Florek na drodze z nią naprzód zmówił o prowadzenie kompanii. Z czoła, z oczu, z zębów i ze śmiechu udała się okrutnie Beldonkowi ta dziewczucha; czasem drugi człowiek ma w sobie jakąś taką cnotę, żeby się do niego przylgnąć chciało — odrazu wiadomo, że dobry.

Przychodzi cała kompania pod las, jedni siedli, z chłopaków się kilku zaraz rzuciło do zbierki, żeby rozpalić ogień; naznosili dosyć sushu i buchnął płomień — każdemu było weselej. Pośpiewali trochę nabożnie, niektórzy się posilał, a jaki taki głowę do ziemi przyłożył, bo go sen zdejmował. Ale ta nie wszyscy do spania się rwali, jacy siedzieli koło ognia i gwarzyli żwawo. Zaczęło się od tego opowiadania, skąd poszedł zwyczaj, że naród rok rocznie tak na Jasną Górę wali.

Pyta się Beldonek Zośki.

— Czy też we zwyczajach było u ludzi już tak od stworzenia świata?...

Ona mu zaś odpowiada:

— Musi w każdej wsi z innej przyczyny wędruje naród do cudownego obrazu, bo skoro komu co dokucza, to się chce pomodlić — jeden za grzechy — mówi — drugiemu chleba brankie, trzeci na chorobę szuka lekarstwa, a niektóremu trza jeno pociechy w strapieniu, jak go różni odumarli.

Mądrze mu tak odpowiadała dziewczucha.

Na to się odzywa Kunda, co była pono ciotka Zośki:

— Dzieckiem jeszcze byłam, jakem słyszała od starszych ludzi, co dawnymi czasy ludzie raz okrutnie grzeszyli na świecie — zabójstwa, zło-dziejstwa, pijaństwa i innych grzechów moc była ogromna. Tak Pan Jezus nie mógł już wytrzy-mać z takim narodem. Zaraz z tego wszyst-kiego było ukaranie, bo sobie Pan Bóg pomyślał: Lepiej żeby nie żyli, niż mają tak grzeszyć. I opuścił Pan Jezus ludzi. Od tamtego czasu chodziła po świecie straszna czarownica, łąziła od wsi do wsi, kiej jej ta już imieniem Boskiem nikt nie zawadzał, i naokoluteńko coś siała; nie siała nic dobrego, jeno morowe powietrze... Marło wszystko jedno po drugiem; w niektórej wsi, to pono człowieka na owinięcie palca nie stało. Juści ani w polu, ani koło gadziny nie miał kto zrobić. Żle tak było przez adwent, przez zapusty, a w poście też nie lepiej. Wy-marło będzie więcej niż połowa tej ludzkiej ho-loty, a przy takich niesprawiedliwych, to się i niejednemu sprawiedliwemu dostało. Tak w je-

dnej zagrodzie siedział chłop ze swoją babą na gospodarstwie, i mieli syna jedynaka. Zła była ta czarownica, że w onej chałupie szło wszystko jak się patrzy, bo chłop nic nie pytał, jeno regularnie swoje robił, idzie tam do nich i zasiała to morowe. Odrazu się chłop rozchorował i ten ich chłopak, a ona poszła dalej innym złe robić. Zrobiła tak w Wielki czwartek rychtyk na noc, na drugi dzień zaś był Wielki piątek, kiedy Pana Jezusa ukrzyżowali. Dopiero kobieta widzi, jaka straszna bieda w chałupie, i zaraz sobie przypomniała nie na Pana Jezusa ukrzyżowanego i Jego mękę, jeno na straszną boleść Matki Przenaj-świętszej... „O poratujże mię też niebogą Matko Boska Częstochowska, któraś sama bolała przy Swojej dziecinie!...“ Jakoś szczęśliwie tak zpod serca zawołała, że zaraz potem do jej chałupy przyszedł chłopiec jeden ślicznej urody, a to był Stróż Anioł i powiada: „nie desperujcie, kobieto, bo wasz głos doleciał do samego nieba, usłyszała go Matka Jezusowa i spojrziała na ziemię, a jak zobaczyła, co się z ludźmi dzieje, tak się rozplakała i łzę jedną opuściła tam na rolę waszą... Wiedźcie, że ta łza odkupi grzechy całej ziemi!“ Tak się też stało; zaraz wyzdrowiał ten ojciec ze synem, a na świecie wszystko się poprawiło, jakby ręką odjął. Baba odpowiedziała ludziom o tem zwiastowaniu, więc wszyscy teraz tak przez wdzięczność, jak i kóli ratunku precz chadzają na Jasną Górę...“

Beldonkowi się ogromnie podobała ta histo-rya, zaraz sobie w głowie układał, że mocna musi być ona Pani z Jasnej Góry, kiej na takie rzeczy pomogła.

Inna znowu baba opowiadała, że takie cho-

dzenie do Częstochowy zaczęło się od głodu u nich we wsi gdzieś pod Kielcami; bo tam dawniej rok rocznie okrutnie ciężki bywał przednówek, ludzie aż marli z wiosny, nim się w polu pokazał jaki urodzaj; dopiero gromada wysłała od siebie kilku starszych aż pod Pińczow do jednego pustelnika, co był za życia jak święty jaki. Pytają go o radę, a on im zaraz wyłożył, że nie trzeba nic innego robić, jeno śpiewając: „Pod Twoją obronę“, oddać się Matce Boskiej Częstochowskiej, to zastąpi. „Idźcie — powiada — a proście.“ Tak się wnetki zebrała kompania z krzyżem i poszła na Jasną Górę. Jak wrócili, zaraz się zlepszyło. A kiedy znowu jednego roku potem przyszła zaraza na bydło, to także ustała, skoro naród poszedł i prosił o to Najświętszej Panny.

Florek siedział też przy tym ogniu, nasłuchiwał jednym uchem, gdzie jaki rozum mają ludzie o Częstochowie. Aż go znowu jedna z bab zagadnie:

— Jakże wy myślicie o tym obyczaju?

— Ja słucham, co wy gadacie, ale ta i niucha prawdy niema w takowych babskich opowieściach. Bo przecie nie z jednej chałupy, ani też z jakiej jedynej wsi pochodzą ogromne cuda na świecie — większe są temu początki. Wam, kobietom, zwyczajnie przy kądzieli, troi się tak i owak; powie co jedna, druga powtórzy i już urosło gadanie bylejakie, a nie po prawdzie. Ale jak jest bywały człowiek, to taki rozumie, gdzie się każda rzecz zaczyna, jaki ma obrót i koniec... Każdy święty w niebie może się zlitować nad prostą babą, czy chłopem — mocen jest, wiadome rzeczy; jeno hałasu z tego nie

może być żadnego... Ma się wiedzieć, że nie na jednej patafii ani nie na dziesięciu bywa przypadek ważny, do dochodzi do słuchu równie króla i panów, jako też prostego chłopca. Tak i z tą Częstochowską cudownością. Od wieku szła nad ziemią, niezapamiętanie ludzkie, kiej się zaczęła; tyła coby ludziom nie wyszło z pamięci, to Pan Bóg już tak zdarzył od czasu jakie cudowne zrządzenie. No i powtarza się toto, a co z nowsza, to ludzie wiedzą — syn od ojca, albo wnuk od dziada, jeśli dożyje taki stary do wnuków.

— A może i prawda, tać dycht są takie trafunki... — powiadają baby.

— Niema być prawda, kiej wszystko z wojny poszło. Wiadomo, jako dawnymi czasy Szwed, Tatar precz tu latały pod Częstochowę, a jakże, kręciły się — lutry, wszystko kóli temu, żeby narobić psoty, krzywdy chrześcijańskiemu człeku. Były to podobno okrutne hamany, dzikusy jakieś, co im już żaden żołnierz nie mógł dać rady, bo wszyscy wojskowi od prostego żołnierza do jednerała zestrachali się przed tymi przybłędami. Ha no, zacheiało się raz onym poganom skarbu, co jest w kościele na Jasnej Górze. Ale już Pan Bóg nie chciał na to pozwolić. Więc raz zza ołtarza Najświętszej Panny, z tego, co jest cudowny w kaplicy, przemówiło coś do jednego księdza, jak się tam modlił: „idź — mówi głos taki — i pobij toto, pobij je mocno, żeby tu nie wrócili więcej, jak sobie raz pójda!... Cóż, ksiądz nie był żadna osobliwość, nieużyty człowiek, więc się sprawiał tam w kościele, że nie podola tyłośnemu nieprzyjacielowi. Wtenczas mu Pan Jezus dał siły takie okrutne, że w sobie ten ksiądz czuł, jako lepiej niż za tysiąc ludzi ob-

stoi. Z tą śmiałością już się mógł bronić. „Niech przyjdą — powiada — zobaczymy!“ Podchodzą te odmienne pod Jasną Górę, a ksiądz krzyczy na swoich: „zamykać wszystkie furty, nie puszczać mi tu nikogo! Wara im od kościoła!“ Zawarli ci klasztorni ludzie wszystko, pozapierali zasuwę, zamknęli na kłódki. Dopiero ten pogan, Szwed pono, każe tego strzelać, nie żałować ani kul, ani prochu; wałą z harmat takich, co do jednej trzeba było cztery konie zaprzęgać, — aż się ziemia trzęsie. Tak ludzie w onem zamknięciu na Jasnej Górze pędzą do księdza i mówią: „dobrodzieju, rumot straszny, nie do wytrzymania; na sądzie ostatecznym gorzej nie będzie!... Możeby tym zbójom posłać co z klasztoru — niechby wzięli i poszli...“ Oj, trzęsła się też trzęsła ta góra, wielka kopuła na kościele omal nie spadła, tak dygotała. Ale ksiądz nic, chwata okrutny przez moc Bożą; jak był, tak wypadł przed kościół, stoi i patrzy, a tu gwar narodu, wrzask, łomot straszny, kule się sypią wedle niego, jeno żadna nie trafia — wielgaśne takie byty, jak główki kapusty, z żelaza kute; skakały precz koło kościoła, wpadały na dach, jeno mało było z tego szkody. Kiedy się dobrze nastrzelał ten nieprzyjaciół, tak myślał, że już chyba wybił wszystkich co do nogi i tylko mu trza iść, żeby skarb zabrać. Posyła tam zaraz kupę żołnierzy, zapowiada im, jak co mają zrobić, a ci wracają po jakimś czasie, powiadają, że się nijak dobrać nie mogą — że wszystko jakoś tak twarde pozamykane — nie podola ani ręką, ani żadnym obuchem: zamki i zawiasy trzymały okrutnie mocno. Wpadł w złość straszna, o mało w nagłości nie pozabijał tych, co mu tak powie-

dzieli; zaraz w te pędy posyła jeszcze trzy razy tyle narodu. „Jak mi wróćcie bez skarbu — mówi — to łby wszystkim poucinam.“ Taki zawzięty był ladaco. Idą drudzy i już sił dokładają, głowy sobie łamią, biorą się na sposoby, bo wiedzieli, co ich czeka, jak swego nie robią. Jakoż nie mogli nijak poradzić; wtenczas mówi jeden do drugiego: „Śmierć nas czeka, zabierzmy się lepiej i pójdźmy do domu, bo się tu chyba nie z ludzką siłą ma do czynienia.“ Porwał ich strach i uciekli; nie wrócili już do tego, co nad nimi dowodził. Szwed posyła nowych jeszcze, ci zrobili to samo. Zrzedniała mu mina, widzi, że źle, mógłby całe wojsko stracić, tak zaklął tyła od siarczystych i poszedł. „Czary — powiada — ktoś uczynił...“ A umyślnie tak mówił, żeby nie uznać cudu Matki Boskiej. — Rozumieścież teraz, że bez to jacy ludzie do Częstochowy chodzą, bo Jasnogórska na cały kraj od wojny wszystkich sobą zasłoniła.

Każdyby takiej historii chciał słuchać, więc ludzie z kompanii żalowali tylko, że Florek już mówić przestał. Cichutko pacierze poczęli szeptać i zabrali się do spania.

XVII.

Wyspali się dokumentnie; powstali skoro świt, każdy się modli, jedno odmawia godzinki, niektóre znowu pośpiewuje nabożnie, a młodzi jeszcze dosypiają — inne ziewa, że nie dospało.

Słoneczko weszło ładnie, na pogodę, rosa duża — jeno się mieni, jakby deszcze w nocy spadły. Florek był gotów, przegryzł ze snu trochę, bierze krzyż do ręki i mówi do chłopaków:

— Dość tej mitregi, bijcie w bęben co żywo!

Oni zaraz biją; tak się już wszystko do reszty pozrywało, zabierają tobołki, kije do rąk i stanęli naokoło Florka, a on tylko popatrzył i zaczyna śpiewać: „Gwiazdo morza, któraś Pana...“ potem z gołą głową ruszył naprzód. Zwawo biegli, bo po nocy, po wypoczynku, każdy był krzepki. Przeszli przez las — znowu piachy, droga niech Bóg broni, gorzej błota, ledwie iść można; musieli sobie pofolgować, do śpiewania także ustali. Florek się obrócił do ludzi w tym piasku i powiada:

— Widzicie ten las na górcie, bór ta nie-
osobliwy?... Pamiętajcie, jak stamtąd wyjdzie-
wa, niech każdy dobrze baczy!...

Tak młodzi, co pierwszy raz szli tą drogą do Częstochowy pytają:

— Co to takiego będzie?

Ale dziad nic, nie daje nijakiego tłomaczenia.

Dowlekli się do tego lasu, choć jeden drugi postawał. W lesie po cieniu znowu im było różniej; spoczęli tam, pośniadali, pogwarzyli jedno z drugim i dalej w drogę — marsz.

Mijają ów-ten las, patrzą z góry, a tu w dali przed nimi widać wierzycę, kopułę, — ciemna taka była, tyła na wierzchu stał krzyż i w słońcu się mienił, odbijały promyki jakieś na wszystkie strony, nikiem cudowna gwiazda. Dopiero ta kompania cała w krzyk, w płacz, szlochanie wielkie, aż się po lesie rozległo, biegło het, het po polu. Ludzie się na ziemię rzucają, jedni kłękają, wyciągają do góry ręce, biją się w piersi, żegnają, a drudzy odrazu padają krzyżem. Od tego widoku i lamentu każdemu łyż stanęły

w oczach. Zaraz było widać, że nie dla zabawy ten naród wędruje przez tyle drogi, jeno strapienie okrutne na niego padło; każdy miał widno swoje bóle, cierpotę jakową, każdy ogromnie musiał kochać Jasnogórską Pannę.

No, nabeczeli się do syta, namówili pacierzy, znana rzecz, co im pomogło to wszystko, zelżyło wewnątrz.

Florkowi bo ta nie pierwsze było, już się dobrze musi otrząsał z każdym nabożeństwem; ale udawacz był okrutny, tak bierze i rękawem od kitli oczy sobie ociera, choć całkiem nie płakał ze wzruszenia. Jak to już zrobił, odzywa się do kompanii:

— Dalej, ludzie, sakum pakum, bo czasu szkoda!...

Znowu się zrychtował i napoczyna pieśń inną jeszcze o Matce Boskiej, pono najpiękniejszą:

„Witaj, Królowo nieba i Matko litości,
Witaj, nadziejo nasza w smutku i żalości!...

Dziad śpiewa, a tu nikt za nim nie powtarza, jeno łkanie jeszcze ogromne na wszystkie strony, bo ludzi za gardła żal taki ścisnął, że słóweczka żadne przemówić nie mogło.

Zbeczał się i ten Beldonek, zbeczała się także Zośka, jeno się niedługo potem uspokoili, bo jak zeszli z góry w nizinę, to im zniknęła z oczu ta jasnogórska wieża z kopułą.

Przychodzą do wsi jakiejś, a tu inną drogą wchodzi znowu druga kompania; dużo było w niej ludzi; szli skądś zpod Proszowic. Ci mieli na sobie inne stroje, obleczenia precz powyszywane czerwono, a także inny obyczaj w śpiewaniu, jako i w mowie. Krew z wodą taki biały naród,

choć się toto piekło na słońcu, a tamci zpod Kielc patrzyli przy nich na Cyganów. Dostatnio było koło onych Proszowiaków, u bab bogactwo w koralach, we wstążkach, a chłopci mieli pasy szerokie, coby drugiemu tyle skóry na buty starczyło. Prowadził ich chłop setny, wołu wzięły taki, jakby poszło na rękę; już i tak był zmacha, a jeszcze miał do tego wysoki kapelusz ze świecą klamrą i piór pawich kupką. Wszyscy ci z książek czytali każde nabożeństwo — modlitwę, pieśń czy litaniją. Nie łączyli się ta z oną Flor-kową kompanią, pewnikiem bez to, że chcieli, coby ich samych osobliwie ksiądz przyjął tam na Jasnej Górze. Jako się za takie rzeczy płaci, więc nie dbali o taniość; boby dwie kompanie mogły być wejść razem jak jedna za tę samą zapłatę. Kto ma pieniądze, co mu ta po tem!

Tak jedni poszli swoim porządkiem, a drudzy swoim.

Znowu po raz wtóry zobaczyli te wierzchy kościoła, jeno teraz nie było już takiego lamentu, jak pierwej, bo się ludzie opatrzyli; przyglądali się tyła złocistym krzyżom i czerwonemu dachowi na kościele.

Nareszcie przed wieczorem dobili do Jasnej Góry. Huk ludu był tu ogromny. Jak już podeszli pod górę, tak Florek prowadzi ich pod jedną figurę i powiada:

— Musicie ludzie zrobić składkę na księdza i muzykę, żeby nas uczciwie wprowadzili na Jasną Górę...

Odrązali się złożyli ludzie, co mogli, pooddawali dziadowi na rękę; on zrachował i jak widział, że kto mało daje, to nastawał na niego, żeby nie żałować dla Matki Przenajświętszej,

kiedy się do niej przyszło w goście; znowu dodali. Dopiero Florek poszedł robić układy z księdzem i z muzykantami o wprowadzenie kompanii na Jasną Górę. Ale kiedy odszedł, to te baby, co już bywały w Częstochowie, narzekały, że tegoroczna wprowadzka kosztuje drożej niż dawniej:

Wyszedł ksiądz, przemówił do nich dobrze, potem już z ogromną kapelą wchodzili na górę; niektórzy to nie szli zwyczajnie, jeno się posuwali na kolanach, a czołom bili i ziemię całowali.

Kościół stał otworem, tak wpadli tam okrutnie spragnieni nabożeństwa; jeden przez drugiego się cisnął, a każdy padał na ziemię i modlił się gorąco.

Poruszyło to wszystko Beldonka do głębi; kiedy wszedł do kościoła, nie miał śmiałości nawet spojrzeć na obrazy, tyła się chylił ku ziemi. Choć nie widział jeszcze Matki Boskiej Częstochowskiej, tej, co jest w kaplicy, a i tak mu się zdawało, że się do nieba dostał: jasno, złocisto, niebiesko było wszędy. Spojrzy w wielki ołtarz, a tam między gwiazdami pełniutko aniołów, pływają na skrzydełkach, wiją się, jeno łebki niektórym widać; między tymi anioły Pani taka prześliczna sunie, spokojniuteńko idzie przez powietrze w górę. Chłopak omal nie zemdłał, bo patrzeć na to długo nie mógł; przycisnął się do ziemi, myślał, że już na świecie nie ma nic piękniejszego. A tak się jakoś czulił, że choć przecie umiał siła różnych modlitw i pieśni, to nawet pacierza należycie zmówić nie mógł, tylko sobie w cichości ciągle powtarzał: „Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami.“

Wtem czuje, że go ktoś trąca; spojrzy, a to Florek leży przy nim krzyżem i szeptą:

— Wychodź za mną z kościoła, bo musimy swoje robić...

Mógł kto myśleć, że się dziad modli, a on tylko tak mówił.

Beldonek spojrział na dziada i jakby przejrzał, bo jak oczy oderwał od obrazu, tak ciągle miał te śliczności przed sobą; teraz mu się ten Florek okrutnie nie podobał, choć go przedtem bardzo uważał za mowność i za mądrość.

Ale wyszli oba z kościoła i dziad rzecze:

— Do zmierzchu jeszcze kawałek czasu, a tu ciągle przychodzą nowe kompanie; taki świeży naród, co dopiero przyszedł, najprędzej opatrzy biednego, nim się toto z grosza wyszeptą... Słyszysz, ty także będziesz na tym odpuście rękę wyciągał! Co dwóch, to nie jeden, w parze zadowolę się zbierze opatrności...

Wychodzą precz za bramy, a Florek sobie miejsca szuka, gdzie zasiąść. Dziadów tam była éma ogromna, a wszyscy cudaczne pokraki. Mieli powykęcane ręce, połamane palce; innemu nóg brakowało, miał tylko drewniane kulasy, a drugi sznurkami przywiązywał sobie do kolan sannice i dopiero na nich suwał; niektórzy był bez nosa; albo miał srogie rany na gębie i kole uszu nie pozarastały; byli tam niewidomi z otwartymi oczyma i bez oczu, byli niemowy i głusi — wszystko straszne łazarze. Każdy jęczy, prosi jałmużny, skamła. Strasznie patrzeć na takie kaleki. Obsiedli gęsto cudowną górę i dopiero w niebogłósy wrzeszczeli do miłosierdzia ludzkiego.

— Siadaj na osobności, tam naprzeciw mnie, i krzycz jako jesteś nieszczęśliwy sierota; jeno

rękę ludziom dobrze podstawiaj!.. — rzecze Florek do chłopaka, i każe mu się sadować przy takim dziadu, co już na wieki oślepił. — Jak ta kto grosz jaki ciśnie temu ślepcowi, możesz zważo podstawić rękę, to ci wpadnie, tyła się oglądaj i bacź z uwaga!..

Usiedli, żebrują, a ludzie przechodzą, rzucają dziadom groszaki.

Florek, choć sam wyciągał rękę, to i tak zdaleka dawał na Beldonka baczenie, jak mu kto co dawał. Kiedy się zciemniło, powiada do chłopaka:

— Oddajże coś wziął, dało ci będzie z dzieściu...

Chłopiec oddał dziadowi całą tę jałmużnę, i potem dopiero poszli szukać swojej kompanii, żeby się już z ludźmi kupy trzymać. Idą koło różnych dziadów, a Florek tego i owego napastuje, pyta, czy który nie chce od niego chleba kupić za tanie pieniądze. Znaleźli się niektórzy, co nie mieli z sobą zapasu i kupowali. Jak kromka była bardzo zeschła, to ją dziad tanio sprzedawał, bo chleb tak wtenczas tylko jeść można, kiej się go w ciepłej wodzie namoczy. A jakże, wysprzedał Florek na tym odpuście precz suchary. Kiedy znowu znaleźli swoją kompanią, to tam baby zaraz dziada na swój wikt wzięły, a Zośka przybiecała Beldonkowi, że mu na drugi dzień kupi mentalik i da go do poświęcenia w kościele, do potarcia o ołtarz Matki Boskiej.

XVIII.

Ciągle dopisywała opromna pogoda na ten odpust; choć się ta i łyskało wieczorkami, to nie

kóli deszczu, jeno gwiazdy jasno błyszczały bez żadnej chmurki, a potem nazajutrz jeszcze lepszy był dzionek.

W owej kompanii zpod Kiele gotowali się wszyscy na ranne nabożeństwo; choć to nie była jeszcze sama gala, tylko mieli Mszę świętą pono zamówioną, co się cała gmina tam u nich złożyła na takie nabożeństwo i Kunda przyniosła w szmacie te pieniądze do Częstochowy. No, a zwyczajnie po to przyszli na Jasną Górę, żeby się raz po raz naświetować. Nie dziwota, że nazajutrz kolejką szły rozmaite nabożeństwa.

Ale Florek nie puścił Beldonka do kościoła.

— Pójdiesz potem — mówi mu — jak się tu już ludzie nabożni przeredzą, terazbyś jeno drugim zawadzał; lepiej siedź na swoim miejscu i pilnuj tego, z czego chleb oba mamy.

Chłopak już nic nie odrzekł, ale mu było markotno; zaraz raniutko poszedł z dziadem, usiadł przy ścieżce w cichości i rękę wyciąga. Nie osobliwie on ta udawał prośbatego dziada, jeno miał szczęście, że niby takie małe dziecko pod kościołem jeszcze prędzej drugiego wzruszy, niż kaleka. Więc mu niejeden wraził co w rękę. Złaziły się tam dziady jeden za drugim, a źli byli, widzący, że co najlepsze miejsca pozajmowane i niejeden taki brzydko na chłopaka spojrzął.

Siedzi sobie tak Beldonek opodal a naprzeciwko Florka, niby po drugiej stronie ścieżki; ale mu najbardziej chodziło, żeby upatrzeć, jak będzie tamtędy przechodziła Zośka, bo miała mu dać święty mentalik. Zośki nie było widać, jacy waliło państwo jakies duże — kilkoro tego było; tak zaraz wszystkie dziady naokoło żwawiej się drzeć zaczynają na przeróżne głosy. Każdy roz-

powiadał swoje kalectwo i wrzeszczał, jak niezdrowsi jaki, a inny trzął się, ruchał, jakby go zimno tłukło. Patrzyło toto z ogromną pilnością na ręce ów-temu państwu. Jeden był pan, szedł na samym końcu, cały bieluszko ubrany jak gęś jaka, tyła mu z boku wyglądał świecący łańcuch — musi bogacz jakiś. Chłopak się przygląda, bo jak żyw nie oglądał jeszcze takiego cudaka, a tu widzi, jak onemu panu coś upadło; Florek czempredziej tę rzecz uronioną chwycił, co leżała blisko niego, i do zanadru ją schował. Tylko jeden Beldonek spostrzegł, co się stało; co prawda, chłopak sobie myślał, że dziad nie dobrze robi, skoro na takim świętem miejscu cudzą rzecz kryje. Ale skoro się nikt nie upominał, co mu ta było do tego, wyciągał dalej rękę i brał jałmużnę.

Niedługuteńko potem przychodzi znowu jakiś miastowy w surducie, spojrzął na dziecko, maca się zaraz po kieszeni, wydobyl pieniądz i cisnął go Beldonkowi umyślnie, żeby się nie miał potrzeby schylać, dający jałmużnę. A tu któryś dziad z boku skoczył do tego pieniądza, jak kot do myszy, i łap za niego, chłopak równie poskoczył i z tym łapczywym dziadem się zderzył. Beldonek trzasnął tamtego swoją głową w nos; z tego poszło pomstowanie, bo chociaż dziad pieniądz pochwylił, ale go bolało. Trzyma się za nos bolący ten dziad jedną ręką, w drugiej garści pieniądz ścisną, a na chłopaka sztunderuje:

— Zatracony bąku — powiada — psie nasienie, będziesz mi zprzed nosa jałmużnę porywał!...

I potem zdzielił chłopca przez rękę, jeno niebardzo, bo się dziecko umknęło, tak dostało tylko obcierkę. Strapił się Beldonek z tego

wszystkiego, tylko się boczy z daleka, a ten dziad odrazu na jego miejscu zasiada i klnie ciągiem od siarczystych — wyparł chłopaka z siedzenia.

— Poszedł precz, smarkaty, ja tu zawsze od pięciu lat siadałem — mówi — jakie prawo twoje do tego miejscal...

Zasiadł tam, gdzie Beldonek siedział, a inne dziady całym sznurkiem się zeszlusowały, tak że chłopak został na ścieżce, nie miał gdzie usiąść.

Zobaczył Florek, co się dzieje, tak się porywa znowu ze swego miejsca w okrutnej złości, podniósł do góry kostór, zamierzył się strasznie i chytkiem prawie leciał do tego Beldonkowego nieprzyjaciela.

— Skurczypało jeden, obiboku!... — wrzeszczy, omal się nie pieni. — Nie ruszaj mi mojego dziecka!... Zasię ci od niego, kondlu jaki!...

Aż się trząsał Florek, aż zzieleniał na gębie, wybałuszył oczy i trącił tamtego dziada przez łeb kijem.

Ale cóż, jak tylko dziad Beldonków wstał ze swego miejsca, tak dziady po drugiej stronie drogi znowu się zeszlusowały i zrobiło się z Florkiem rychtyk to samo, co z Beldonkiem. Dopiero gwałt z tego, rwetes, bo Florek zadarł ze wszystkimi dziadami; ale że z niego był stary wyga, cięty, tak się nie dawał, tylko szedł w piekło o swoje. Zobaczył tu i owdzie dawnych znajomych dziadów, zaraz ich bierze za świadków i przyjaciół sobie robi naprzeciwno tamtym; jeno nie każdy go ta należycie wysłuchał, bo ludzie przechodzili i trzeba było na wyścigi o jałmużnę molestować. Tak Florek tyła zbarłoczył krzyne czasu a nic nie wskórał.

Akuratnie nadchodzi z nabożeństwa Zośka, widzi Beldonka i wsunęła mu w rękę mentalik, co mu go była przyobiecała. Teraz dziady myślały, że chłopak stojący pobiera jałmużnę, tak zaczęli jeszcze gorzej bij zabij na dziecko. Jedni się modlą, a drudzy klną pod nosem — nie każdy ta słyszał, jeno chłopiec wiedział, że na niego.

Kiedy tak było urwanie głowy, a tu od kosićcia idzie ten sam pan biało ubrany, co to przed chwilką rzecz jakąś upuścił, i Florek ją podniósł. Podchodził do dziadów i rozpytywał, czy który nie znalazł pularesu, a obiecywał im znaleźne. Tak on dziad, który po Beldonku zagarnął miejsce, mówi pocichutku do ów-tego pana:

— Niech-no pan dobrodziej każe tego małego przetrząsnąć, bo nikt jeno on musiał sprzątnąć; każdemu na odpusćcie znany to ptaszek, okrutnie chytry bachur, choć na to nie patrzy... Stoi tam oto policyant, pomoże panu...

Tu się więc Florek targuje z dziadami, miejsca sobie szuka, bo nabożeństwo najgorętsze, czas leci, a tu ani widzi jak Beldonka policyant przycapił i na dół prowadzi.

Idzie ten pan, a policyant Beldonka za kark trzyma, przed sobą na oddalenie ręki pędzi. Tak ów biały pan podchodzi do chłopaka i zaraz go grzecznie namawia:

— Słuchaj mały — powiada mu — jeżeliś wziął, przyznaj się, nic ci nie będzie za to, jeszcze cię dobrze obdarzę; a nie, to może być z tobą wielka bieda... Szkodaby cię było, boś młody.

Beldonek był w ogromnym strachu, myślał, że oni go pewnie zbić chcą, tak w bek, płacze a wymawiał się, że nic nie winien — świętą prawdę mówił.

Ten pan zaraz powiada:

— Ludzie mówią, że cię widzieli, jak podnosiłeś, powiedzże — prawda to?... Możeś ty widział, kto podniósł?...

— Juści widziałem... — wyrwało się Beldonkowi w tym beku.

Dopiero się zatrzymali, i pan głaszcze chłopca pod brodę, dodaje mu chęci, żeby pokazał takiego, co podniósł on pulares.

Nijako było chłopaczynie powiedzieć, że to Florek, tyła się trochę uspokoił bez owo głaskanie. A tu policyant, jak krzyknie na niego z góry:

— Gadaj mi zaraz, ty oberwusie, szelmowski duchu! A paszport gdzie u ciebie?...

Chłopak o mało ze skóry nie wyskoczył, jak go tak zagadnęli, i powiada cicho:

— Florek podniósł... .

Każą mu pokazać, który to taki, i prowadzą go między dziadów. Zaszli Florkowi od tyłu i chłopiec go pokazał, ale sobie aż oczy ręką zasłonił, bo nie śmiał spojrzeć na swego dziada — bał się, że go wydał.

Ha! no, uciecha osobliwa pomiędzy dziadami, kiedy zobaczyli, że Florka policyant wiedzie. Zrazu się dziad stawiał ostro, gadał, jako jest prowadzący jedną kompanią; — na nic się zdało, nie było żartów z tym policyantem, bo choć nie on zgubił pulares, zawział się jeszcze gorzej od tamtego białego pana i strasznie był pewien swego, ile że pałasz miał przy boku. Beldonek nie myślał zostać między dziadami — toć bez Florkowej opieki Bóg wie coby z nim zrobić mogli teraz; zabrał się i szedł z daleka zobaczyć, gdzie oni Florka prowadzą, żal mu było dziada trochę.

Już na dole pod Jasną Górą Florek zmiękł, wyznaje brewider, że pulares znalazł, jeno nie wiedział czyj; ale teraz gotów oddać, tyła niech go na stare lata nie tarmoszą, kiedy on do Częstochowy przyszedł na nabożeństwo. Wyjął z zanadru ten pulares i oddał panu. Pan zaraz się zcieszył, wziął swoje i prosi policyanta o sfolgowanie dziadowi.

— Bierz go kaci — powiada — nie dbam o więcej, skorom zgubę odnalazł!...

Cóż kiedy policyant w żaden sposób nie chce Florka puścić.

— I tak — mówi — na tym odpuście pełno złodziei, niechże choć on jeden przesiedzi w ciupie, póki się wszystko nie skończy...

Nic nie pomogło, zabrali gdzieś Florka, schowali.

Idzie ten biały pan napowrót i napotyka Beldonka, przyjrzał się dobrze chłopcu i odrazu rzeknie:

A prawda, toś ty chłopysiu był niewinnie posądzony, i z twojego wskazania odnalazłem zgubę!... Niechże cię nagrodzę tak za jedno, jak za drugie...

Dobyl jakieś papierki, daje to chłopakowi, a napomina:

— Schowaj to sobie, żeby ci kto nie zabrał, i spytaj kogo starszego, co masz zrobić, bo ci dają dobre pieniądze...

Tyle jeno powiedział, potem poszedł ku kościołowi, a Beldonek został pod Jasną Górą i myśli, co tu dalej począć.

XIX.

Przez czas jakiś wahał się Beldonek tu i owdzie pod Jasną Górą, aż nareszcie natknął się na baby z onej kompanii, co to zpod Kielc przyszła. Ale im ta nie mówił zrazu, że takie przypadki zaszły; dopiero się później jakoś dowiedziały o wszystkim. Nie było im markotno o Florka, powiadały:

— Dobrze mu tak, kiedy oszukaniec... Musi na naszej kompani takż dobrze zarobił bez ten honor, że nas tu prowadził.

Jeno chłopak Zośce wszystko akuratnie rozpowiedział i pokazał jej równie te pieniądze w papierach, co je od pana dostał. Ona mu zaraz na osobności przerachowała i powiada, że jest moc tego, że nikt w całej ich kompanii nie mógł mieć tyle; ale dziewucha też nie wiedziała, siła było, bo nie mogła zgadnąć, ile który papierek mógł znaczyć.

Tak już teraz mały bab się pilnował, łąził z niemi na nabożeństwo, obejrzał wszystko doskonale, przebył cały odpust, jak należy. O Floruku nie było mowy, zapomnieli o nim ludzie, bo każdy miał swoje rzeczy do myślenia.

Poczyna się zabierać ta kompania do odejścia, tak Beldonek w prośby do Zośki, żeby mu kupiła u obrazników różnych świętych i mentalików za jego pieniądze. Slicznych rzeczy sobie nasprawiał, takż piękny kozik i piszczalke, a Zośkę obdarzył tak, że była rada.

Powróciła potem ta kompania pod Kielce, i dziwowali się tam u nich we wsi, że kobiety takiego zmyślnego chłopaczynę przyprowadziły. Beldonek się doprasza, żeby go kto koniecznie

do stryka Matusa odstawił; ale cóż? ludzie się dopytują, a on nie wie ani krzty, jak się jego wieś nazywa, bo sobie tyła spamiętał Pińczów i Częstochowę.

Dopiero starzy gospodarze nastają na Kundę, bo ona najwięcej miała z tym dziadem Florukiem do czynienia. Jak sobie baba poczęła wszystko do pamięci przywodzić po kolei, tak wspomniła, że jej dziad raz mówił, jako ten sierotka zpod Buska z Balic pochodził. Rychtyk się ktoś ze wsi wybierał na furmankę w tamte strony, tak mu dali chłopaka na furę, żeby do tych Balic dojechał i oddał cudze dziecko komu przynależy.

Ledwie się Beldonek u swoich pokazał, zaraz go wszyscy z ogromną szczerością witali; porozdawał ludziom trochę tych obrazów i mentalików z Jasnej Góry, a stryjnie oddał jeszcze pieniądze do schowania, co mu zostały! Powiadał Matus, żeby za ten grosz trzy spore wieprzki mógł kupić.

No, podziw we wsi był ogromny, że takie małe dziecko a już kupę świata widziało. Chłopak ześmiał, precz opowiadał różne historye między swoimi, miał teraz uważanie większe niż dawniej.

— Będą z niego ludzie! — powiadali we wsi. — Świat zobaczył i z pożytkiem w kieszeni do domu wrócił.

Nie na tem koniec historyi o Beldonku, jeno się resztę kiedyś jeszcze opowie.



~~88460~~

94811